HEL. ROMER



KSIĄŻKA O NICH

KSIĄŻKA O NICH

i nie dla zawiści —
„Chopin" od R.
III 1923.

HEL. ROMER

KSIĄŻKA O NICH

WILNO — 1922.
NAKŁADEM i DRUKIEM LUDWIKA CHOMIŃSKIEGO
KSIĘGARNIA STOWARZYSZENIA NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO.

Druk. „LUX" — odbito czcionkami tłoczni J. Bajewskiego.

Pisać prawdę... co za niebezpieczeństwo!
Być człowiekiem — jaki to ból...
Być kobietą... co to za rozkosz!

H. R.

I. OBJAŚNIENIE.

Pisanie może być jak malarski obraz kolorowy, jak suchy, ciemny, ostry sztych, jak rzeźba silne, lub mdłe i subtelne, jak pastel. Może też być jak muzyka: bezkształtne, tylko działające na myśl bezzmysłowo. Czy wolno tak pisać? Nie wiem. Trzeba pisać tak, jak tego chce Demonik, prześlizgujący się od mózgu przez serce w palce i na końcu laski do pisania maczający swój ostry nosek w atramencie, by wodzić nim zarozumiale po białych ćwiartkach, wmawiając drwiąco, że to on tłumaczy wszystko, co chce wypowiedzieć nieszczęsna istota, związana z nim paktem, iście djabelskim. Na jakież wodzi manowce! Jak męczy i zmyka, niby chochlik na bagnach skaczący swoją drogą, w którą ufa wędrowiec, że ona właśnie wskazuje ludziom skarby. Szuka i błądzi w grubych ciemnościach, siląc się na ich wydobycie, zapominając, oszołomiony słowami bajki, że znajdują się tylko w jego duszy... czasami... Wydarte na jaw... garść zielska i próchna. Ale przewrotny i przekorny czarny nosek Demona ryje papier pośpiesznie i zmusza do szukania... nawet prawdy. Upaja fałszywą rozkoszą dokonanego dzieła, nagina broniącą się przed profanacją duszę, by otwarła dla wszystkich czarowne wrota swych tajemnic. Całe szczęście, że narzędzie używane do tej operacji jest tak głupie, że nigdy, nigdy, nigdy, na szczęście! nie otworzy wszystkich bram, nie rozwieje wszystkich aromatów. Że to najpiękniejsze zostanie jednak własnością twórcy. Pokusa jednak, fizyczna niemal, jest zbyt silną. Nie tyle chęć powiedzenia w s z y s t k i e g o, ale jakieś ustępstwo instynktem przyrodzonym, jakaś tęsknota do nieśmiertelności, jakiś targ

własnej duszy z duszą otoczenia zmusza do ulegania rozkoszy i męce tworzenia. Uległość moja jest jednak połowiczna. W granicach mej woli. Właściwie trzebaby zaprezentować dowcipnym i subtelnym opisem ich rodzin, otoczenia, mieszkania i zajęcia, ludzi, o których chcę coś ważniejszego od tamtych spraw opowiedzieć. Więc poco? Tamto wszystko nic nie znaczy. Innym razem zagubię mych bohaterów w tłum i w szczegóły zewnętrzne, o tych dwojgu niepodobna pisać w kontakcie z gawiedzią. Gdy patrzę na nich, nie widzę już nikogo koło nich. Oni sami, czy aby istnieją? Mniejsza z tem, i tak cała sprawa nie rozegrywała się w świecie zewnętrznym. Pocóż więc, prawda? Metryki i umeblowania, jej tualety i jego interesy? Nie chodzi tu o obrazki, co najwyżej mogą być pomocniczym środkiem do wywołania nowych odruchów duszy lub myśli.

A teraz, raz jeszcze, proszę was, ostrzegam i zaklinam, nie każcie mi mówić wszystkiego, co wiem o was.

Dlaczego, dlaczegóż więc stoicie koło mnie, ty, Ania, którą kocham jak samą siebie, i ty, Ala, którego kocham więcej jeszcze i dlaczego opieracie o moje rozpalone skronie, ty Ania, twe płowe, puszyste pukle włosów, i ty, Ala, twą skroń znużoną? Dlaczego czuję w mózgu tętno myśli waszych, wydzierających się w przestrzeń, dlaczego pochylacie się nademną i szepczecie mi wyznania, które chcę zachować w sercu, jako najgłębsze, najdroższe klejnoty mego Sezamu i nie dać nikomu słowa odklęcia skarbca? Nie podawajcie mi swych gorących dłoni w uściśku, moi drodzy, moi jedyni przyjaciele. Oto za chwilę zdradzę was... jednak... może... nie zupełnie.... Czarny nosek Demona, zaklętego w pióro, tańczy przekornie, wścibsko i wykrętnie po papierze, szkaradą liter i słów chcąc opisywać piękność waszą... a no... zostawmy mu swobodę.

II. PO RAZ PIERWSZY...

Jakaś, gdzieś, wystawa rolnicza. Park: piękne, spokojnie szemrzące drzewa, wielkim cieniem konarów osłaniające gmerania się ludzkie. Trawniki intensywnie zielone, jak strugane chryzoprazy, krzewy sztucznie i wdzięcznie ugrupowane

w klomby, wśród których olśniewająco białe gwiazdy nicotiany i strzępiaste, blade astry, wraz ze zwarjowanemi georginjami, o stonowanych barwach, układają się w bukiety, wabiące oczy. Rzeka złocista i błękitna oplata pętlą swej wstęgi park i, zaśmiewając się wśród kamyków przyśpieszonym głosem srebrnych wirów, pędzi gdzieś dalej. Jasnozłote urwiska płaszczystych wzgórz za nią, na nich pierwsze purpury jesiennej szaty ziemi, powichrzone wiatrami sośniny, wyżej... wyżej niewzruszony, nietknięty żadnym puchem obłoków, przepaścisty szafir nieba.

U dołu, wśród drzew, pawilony wystawy zabiegliwości, pracy i brzydoty. Wszystko jest małe, nędzne i sztuczne. Kłamstwa jest pełno w tem cudnem, przeczystem powietrzu jesiennem, wśród tych królewskich drzew. Marjonetki ludzkie kręcą się w ukłonach tu i tam, — tu i tam maszynki, zwierzątka, robótki, w szafeczkach, zagródeczkach, pawilonikach. Senna sadzawka, zamieniona na ciurkający wodotrysk, który czasami ma czkawkę i staje. Zapach perfum, dymu i pokostu w powietrzu, szmer rozmów, gęste gdakanie francuskie objawia pospólstwu obecność s o s i e t y. Cienkie w pasie do absurdu, w dzwonach spódnic i buffach rękawów, w abażurach pelerynek, giną w koronkach, w kwiatach (sztucznych), w gazach, jedwabiach i haftach panny i mężatki. Puszą się i kręcą parasolkami, wiercąc piasek wysokiemi korkami ciasnych pantofelków. Zgraja młodzieży, niby sfora puszczona ze smyczy, goni w te gąszcze sukien, węsząc... złoto posagów. Uśmiechów i spojrzeń krzyżuje się i ściera mnóstwo, słowa nic warte trzepocą się w powietrzu, jak lśniące plewy. Jest ślicznie i... obrzydliwie. W szeleście spódniczek, w tumanie perfum paryskich suną strojnisie w pawilony, rzucają okiem tu i owdzie, nie rozumieją nic, nie obchodzi je nic, i wszystko jest w porządku.

Dąsa się w biurze informacyjnem student, wypędzony z uniwersytetu za manifestacje antirządowe — toż jest jego społeczeństwo, o którego prawa chce walczyć? Ponuro patrzą młode oczy wilka, siwe, lśniące metalicznie z pod gęstych rzęs i dziecinnie odymają się zmysłowe usta w jasnej twarzy bez zarostu. Z kłębowiska sukien i piór, nagle, głos kapryśny melodyjny, drgający... życiem?

— „Panie, jakto? Nie pozwolili drukować nawet programów po polsku?... nie pozwolili, no!!!

— „Pani pierwsza na to zwróciła uwagę“ — ironicznie odpowiada student, ale pod białym kitlem zaczyna mu bić serce niezrozumiałem tętnem. Z pod kapelusza, koafiury i fryzury patrzą nań takie oczy! Takie oczy pełne słońca i chmur, śmiechu i buntu, oczy, z których się życie wydziera i szarpie w grymasie ust pogardliwych, oczy błękitne i srebrne, duże oczy pytające, oczy człowieka w wonnej c r e m e s i m o n bazi... panny na wydaniu z „dobrego domu“. I więcej nic...

III. DRUGIE SZKIEŁKO LATARKI.

Patrzcie. Ania i Ala, oto przypominam wam drugie wasze spotkanie: banalne najzupełniej. Gwar, półcień, półjasność, grono młodzieży, pół konspiracja, pół zabawa. Wszak w tem mieście Wilnie nic a nic nie wolno, więc się wszystko to robi, z podwójną pasją i rozkoszą! Brak książek, podręczników. rad, brak tych najdroższych zakazanych druków o Polsce i o Litwie, o ułanie i o bitwie, tych barwnych bohaterskich rzeczy, potrzebnych koniecznie, by módz żyć i czekać.

— „Koniecznie, koniecznie muszą być na Gwiazdkę te książki, muszą, m u s z ą. Ktoś musi przywieźć!“ Jeśli takie słowa mówi ładna i młoda dziewczyna, to oczywiście musi tak się stać, na to niema żadnej rady. I książki m u s z ą i ktoś m u s i i... właśnie, student jakiś jedzie do Krakowa, mieszka w tym domu.

Z dorożki wysadzony, szybko, szybko, dostaje wśród gwaru i szczebiotu polecenia i zbiega ze schodów, śpiesząc na dworzec z myślą:

— „Gdzie ja słyszałem ten głos... ten głos?...

Ania wśród przygotowań do zabawy, ściga pamięcią postać studenta i nie może sobie przypomnieć ani jego twarzy, ani zrozumieć, dlaczego o tem myśli?

IV. OCZY W OCZY.

W dymie papierosów, cygar... bo ja wiem, może i fajek? mglisto rysują się twarze, postaci i gęby. Mowy są zakazane,

konspiracyjne ogromnie i naiwnie poczciwe, zdawanie sprawy z jakichś czynów, spełnień, poleceń, napisanych odezw. Mniejsza z tem. Są przyjaciele i nieprzyjaciele, są znajomi i nieznajomi ze sobą ludzie, nie chodzi o ich nazwiska, owszem, lepiej jest nie znać, nie widzieć, nie pamiętać. W jakimś kącie młody człowiek zajadle dyskutuje, broni słuszności odezwy, którą trzyma w ręku. Chodzi o to, czy ją ma jutro czytać tysiące ludzi, czy nie. On twierdzi, że tak i namiętnie argumentuje każde zdanie, przyznaje słuszność każdemu twierdzeniu.

— „Kto to pisał?" — pyta jeden z obecnych.

— „Nie wiem, chcieliśmy się dowiedzieć, powiedziano nam W i d, mniejsza z tem kto, byle miał słuszność...

Gwar i hałas przelewa się przez uszy i staje się monotonną, zagmatwaną rytmiką odgłosów bez sensu. Cicho mówi ktoś do Ala:

— „W i d prosił, żeby Panu podziękować.

Odwraca się szybko. Cóż ta panna w modnym kapeluszu i w karakułowym żakiecie tu robi? Ach, i jakież ma oczy... jakież oczy zagarniające... Leci się gdzieś w te oczy, jak w bezdenną toń górskich jezior. Na chwilę znika cały świat, tylko te dwie pary oczu pytające, wpatrzone w siebie... w bezdeń.

— „Pani zna W i d a, kto to?

Uśmiech, spojrzenie w bok, kokieterja światowej panny, banalność jakiegoś flirtu, przekomarzania się salonowego. A nie z nim, on nie ma czasu, Alo odwraca się prawie z dąsem.

Ania mówi półgłosem, śmiejąc się cicho, przekornie.

— „Wid to ja...

— „Nie moż...! bardzo mi przyjemnie". Ukłonił się zdziwiony, zły i prawie zmieszany. Cóż to za zabawka kobiety, cóż to za kaprys, fantazja, sport i pomysły? Czego te oczy ciągną, co w nich jest takiego? Sięgają tak głęboko... te oczy, lalki? Ania myśli prawie to samo, jakiś chłopak, nawet nie wiem kto? I nie ciekawam, ale dlaczego taki we mnie niepokój... od tych gwałtownych spojrzeń?...

V. POCAŁUNEK?... KTÓŻ TO DZIŚ PAMIĘTA...

(Ania opowiada).

Ja też nie pamiętam o żadnych, mój Alu, kiedy myślę o tym jednym, o tym jednym, o tym pierwszym, który zawarł w sobie wszystko, na co czekaliśmy nieświadomie i co miało się później stać. Czasami zdarza się taka chwila, taki w życiu ludzi moment, kiedy m o g ą wszystko wiedzieć i spełnić, ale najczęściej nie wiedzą o tem, albo tylko przeczuwają... i talizman na sekundę rzucony ręką tajemniczych sił, otaczających nas niewidzialnie, wymyka się nam z niedołężnych dłoni, usta, szukają słów zaklęcia, oczy ścigają uciekającą marę szczęścia, pytająco zaglądają w przyszłość, co ona na to powie? A dopiero potem, najpospolitsza rzeczywistość z linją w łapie bakałarzuje i poucza nas od a, b, c, jak toby mogło być ładnie, a jakie to dzieci głupie, że zgubiły kluczyk od tajemniczego pudełeczka, w którem są takie! takie! takie! rzeczy... Więc jedne szukają z płaczem po całym świecie, inne proszą grzecznie, inne bawią się czem innem, a są i takie, mój Alu, co kładą uparte głowy na tajemniczej kasetce, od której klucza nie mają i, tuląc do jej kutych ścian usta gorące, trwają tak w długiem, długiem czekaniu.

Pachną mi miodem lipy mego ogrodu, szeleszczą klony, ukochane drzewa mego dzieciństwa, umiejące opowiadać mi o każdej porze dnia, roku, i wieku mego, inne bajki, zawierające więcej prawdy, niż mowa mych bliźnich Kiedy zamykam oczy i przywołuję tamtą chwilę, jawi mi się ów wieczór i owa godzina słodkiego wsi naszej zmroku letniego dnia. Z łąk błękitno-srebrnych, oparami rosy płyną fale chłodu, od drzew ciepły oddech muska nam twarze. Jest błękitno i srebrno, noc potrząsa swe szafirowe, gwiaździste szaty, zgarnia w nie wszystkie aromaty kwiatów i otula nas lśnieniem gwiazd i wonią ziół polnych. Przywołały nas cień wieczoru, wywołały z pośród ludzi głosy pól, łąk i ogrodu, kędy śpią zaczarowane sadzawki czarne i szkliste, a koniki polne kłócą się z żabami o prym w wieczornej serenadzie. Atłasowe nietoperze warjują w powietrzu, tnąc je naukos miękkim lotem bajkowego stworu, puhacz woła tęsknym głosem za panią sową i śmieje się

spazmatycznie, tłukąc w szukaniu sennym łbem o gałęzie sosen. Pod olchami, nad rzeką, tańcuje swój czarodziejski taniec król wężów ze szmaragdem w jadowitych zębach, a król olch wabi śpiewem nad wszystkie piękniejszym, ludzkie, tęskniące za niemożliwością dzieci.

W taką noc cichą, gdy prócz nas snuły się po parku tylko twory naszej wyobraźni, gdy przemawiały z niezmiernego wszechświatu głosy lecących gwiazd, gdy stary księżyc, komiczny patron kochanków, rozgarniał z ciekawością splątane konary drzew, w taką noc cichą i drgającą zagadkami, spotkaliśmy się, przyciągnięci niewidzialnie w to samo miejsce w altanie.

Cóż, że się nasze zeszły wargi? Tyle razy bywało tak z tobą i ze mną. Dlaczegóż wtedy zaczęły gwiazdy lecieć strugą srebrzystą po drgającem niebie, dlaczego niespokojnie rozszemrały się stare drzewa mego ogrodu? Dlaczego, gdy gorące usta twoje, rzuciły się na moje usta i zwarły długo głęboko i prawie boleśnie, dlaczego poczułam, że to jest pocałunek jedyny w mojem życiu?

Że coś się stało. Coś najważniejszego.

I darmo śmiał się potem koło mnie gwar ludzi i wesołość lamp, darmo ranek, nazajutrz, lśniącym palcem odciągając firanki, śmiał mi się w oczy, żartując z nocnych omamień, darmo ty sam, mój Alu, uśmiechałeś się senny, wzburzony i trochę ironiczny, paląc o wschodzie słońca papierosa po źle przespanej nocy... Ja miałam w duszy łzy, przed któremi zamykałam oczy, by je zachować głęboko... jak perły przeczutego bólu.

VI. PRÓBA WYJAŚNIENIA. *(Alo opowiada).*

Z tych czy z owych przyczym, albo poprostu przez nadejście t a k i e g o nastroju we mnie, zapragnąłem namiętnie usunąć się poza obręb życia codziennego, usunąć je w bok, zredukować do koniecznych funkcji, a oddać się zupełnie wewnętrznym wrażeniom i szukaniu nowych w sobie wartości. Roztrząsłem bowiem te, które zdawało mi się, że posiadam, na rozstajnych drogach, pełnych kurzu z pod kopyt stada, na bezmyślnie szkodliwych i malowniczych miedzach, pełnych

chwastów, ba, być może, że nawet, obdarowywałem niemi naiwnie bliźnich? Teraz nie chciałem już odczawać czegokolwiek w sposób uznany i do wierzenia podany. Moje ja, mój pogląd na świat i ludzi zajął całą myśl moją i stał się jedynem prawidłem i kryterjum wszystkiego. W tym kierunku musiałem, chcąc coś odkryć i być logicznym z zamiarem iść do dna każdej sensacji, stać się samotnym i potępionym; prędko jednak zrozumiałem, że sam jeden badając życie, od własnej tylko indywidualności mając wskazówki, popadnę w martwotę lub doktrynerstwo. Potrzeba mi było kontroli, może nawet przeciwnika, bym mógł probować jak odczynnikiem chemicznym wartości wytworzonych w sobie prawd, czy kłamstw. Nieświadomie, instyktem gatunku wiedziony, unikałem zbliżenia z którymś z przyjaciół: mógłbym bowiem z niemi o tych rzeczach r o z m a w i a ć i r o z u m o w a ć ale ani p r z e ż y ć, ani o d c z u ć, a ja tęskniłem namiętnie do nowej formy życia duchowego. Być może, że łączyła się z tem i tęsknota fizyczna do nowego i niezwykłego kształtu kobiecego ciała ale ten powód był wtórnem wrażeniem myślowem. Trzeba mi było widzieć wiele ludzi i krajobrazów, odczuć wiele sensacji poprzez wibrujące nerwy i zmysły kobiety. Czułej, subtelnej, pokornej i przekornej kobiety.

Spotkałem Anię.

Z początku wydała mi się zbyt powolna wszelkim męsko-żeńskim igraszkom, myślowym i innym. A zarazem jej niecierpliwiące przechodzenie mimo z uprzejmym uśmiechem obojętnej pogody i szukanie czegoś dalej poza mną i poza sobą. Świat nazywał to jej kaprysami, ja widziałem w tem początek mądrości. Z czasem przekonałem się, że jej pozorna zgoda trwała tylko tak długo, jak jej obojętność. Z chwilą, gdy przełamałem po raz pierwszy jej opierającą się w o l ę, gdy senna królewna uśmiechnięta w krysztale zaklętej grozy obudziła się, zerwała i obróciła ku wyciągniętym, ogarniającym ramionom, zaczęła się w tych ramionach szarpać i próbować ich mocy z zajadłością iście pierwotną.

Była to jednak druga warstwa oszukaństwa, trwająca dłużej i umiejętniej o wiele, maskowana walką zmysłów. Naprawdę i o tem się przekonałem znacznie później, chodziło

Ani o walkę moralną w niewidzialnym świecie myśli, ciążącym rozstrzygającą wszystko siłą nad życiem ludzkiem. Przekomarzania się miłosne były tylko próbą, mąceniem mi dróg do jej duszy, ostatnią jej obroną przed zdobywcą gwiazd...

— „Masz to zamiast tamtego“ — słała ku mnie czarodziejka swe chytre pragnienia, ale ja nie prędko się poznałem na tem i straciłem dużo czasu na zapasy miłosne, biorąc je za najważniejszą sprawę i jedyny dla mnie sposób dojścia do swojej prawdy.

Zapominałem w oszołomieniu egoistycznem zmysłów, w rozkoszy posiadania po walce, że nie ja jeden mogę czegoś poza tem szukać. Sądziłem niezłomnie, że kobiecie, prócz pełni rozkoszy, nic się nie należy, i że więcej sił, niż na zniesienie, chłonięcie i kwitnienie w sobie rozkoszy, ona już mieć nie może. Reszta należała do mnie. Nie miałem nawet zamiaru dopuszczenia kobiety do głębokich przeżyć i zamysłów mej psychiki. Dopiero, gdy zobaczyłem, że, działając rozkoszą zmysłów, krążę koło niej, jak koło królewskiego ogrodu, otwartego dla pospólstwa tylko w dni świąteczne, a kędy dzień i noc snują się przez aleje najcudniejsze dzieci, koronowane blaskiem złota, oglądane przez kraty, wtedy zapragnąłem wedrzeć się podstępem, czy gwałtem, jak motłoch, w te tajemnicze klomby i zmusić królewięta, by mi na klęczkach przysięgły posłuszeństwo.

Ale w walce zajadłej, która z tego zamiaru wynikła okazało się, że łaski królewiąt kupić można klejnotami własnej duszy, krwią własnego serca, bowiem królewskie dzieci przywykłe są, by korni poddani ofiarowywali swe życie i mienie w hołdzie, same zaś umierają.... jeśli je upokorzyć...... Ja zaś bałem się zniszczenia ich ukradkiem ujrzanej piękności i dlatego rozpocząłem z Anią targi, które trwały lata całe..

I nigdy, nigdy jej dzika duma nie wstawała przeciw mnie bardziej hardo, zuchwale, z większym sprzeciwem człowieka do człowieka, jak kiedy do dna, do ostatniego tchu, zdawało się, ujarzmiłem kobietę pocałunkami i pieszczotą, nie zostawującą pozornie nic już, prócz rozkoszy oddania się w kobiecie i rozkoszy posiadania w mężczyźnie.

Była to zagadka, której rozwiązaniu poświęciłem, powiedziałbym, więcej niż trzeba czasu, żeby nie to, że rozkosz cielesna jest darem bogów i że... wyznać to trzeba: na czas jakiś pokochałem Anię nad wszystko. I dziś nie wiem, czy to nie było naprawdę i poprostu najpiękniejsze w mojem życiu...

VII. NIEDZIELA.

W szare nudne popołudnie, ciemnawe miękkim zmierzchem wałęsającej się mgły, Ania siedzi w sposób po swojemu prześliczny. Szczupłe kolanka ściągnięte, ramiona złożone wąsko, jak skrzydła dalekiego ptaka, co na chwilę spoczął, a na różowych dłoniach opartą głowa o płowych włosach, wśród których zagmatwanej gęstwiny patrzą oczyska srebrno-szafirowe, jak obłoki w dzień wietrzny. Kobieta czeka. Słucha ciszy.

— „Opowiem ci, Aniu, bajeczkę, w której niema słowa prawdy, a która się niemniej zdarzyła w takie właśnie tajemnicze popołudnie:

„Owego wieczoru kaprys chochlikowego losu zawiódł do podniebnej mansardy studenta daleką i obcą mu „Damę" — na szóste piętro; zaszeleściły jedwabne i koronkowe podszewki, wśród ciemnych, nędznych ścian buchnęła fala ostrych, drogich perfum, czarne pióra z pod nieb tropikalnych musnęły biedne, zimne sprzęty, a królewskie oczy zażądały godnego siebie pokarmu. Rozkazująco zawołały o bezcenny skarb, do którego miały prawo — prawo piękności. Student, wieczny romantyk, skłonił z uprzejmem zezwoleniem głowę, w znak hołdu i ufnego zaspokojenia kaprysu łaskawej Damy. Nie był że bratem Chimery? Subtelnym gestem białych rąk o zmęczonych palcach, rozwarł okno szeroko na świat bajki i Cudu i rzekł: „Wejdź, królewno w zaczarowaną moją krainę.... To jest... niech pani będzie tak uprzejmą i raczy spojrzeć... A to jest to, co ja ofiarować mogę...... w zamian..... targ w targ".

„Harda głowa wychyliła się przez okno podniebne samobójczym ruchem i pogardliwe, malowane na ciemną malinę usta drgnęły, a zimne, drwiące z własnego tragizmu oczy, kaprys spojrzenia utrwaliły na... podarunku.

Olbrzymie miasto dyszało zmęczeniem rozszalałej a nie zaspokojonej namiętności. Gnało i skowyczało mrowisko ludzkie gdzieś... w dole..

Mordowały się i kochały bestje człowiecze, tarzały się, przewalały krwawe okrzyki w oparze win i świateł...

Tam.... w dole....

Cóż z tego, tam, z dołu, zrobił jeden romantyczny gest chimerycznego studenta... a góry?

W jakież błękitne rozmarzenia rozeszły się ryki tłumów, w jakie modlitewne fale rozkołysały się brudne skręty namiętności, tych... z dołu?

Były jeno opalowe mgły, bujne, przeczyście chłodne morze, kołyszące przejrzystą chmarą, do kosmicznych mamideł podobne cienie drzew ukojnych i słodkie, ciche światła, błękitne, jak gwiazdy na czołach dziewic męczeńskich. I cisza, taka łzawa, święta cisza, co, o zgrozo straszliwa! wyzwala stłamiony łoskot serc i wołanie ich czyni jawnem. Zdradna, słodka cisza... kabaretowym wrzaskiem pospólstwa odarzona dusza, zapomina, że jej się zbudzić nie wolno... Stępiona codziennym deptakiem myśl, straszliwe swe macki wyciąga po ból... po wspomnienie....

Już zdyszane serce dygocąc rzuca się ku całopalnej ofierze wyznania, już usta malinowe, po których z węglowych oczu łzy lecą, drgają poddaną pieszczotą...

— „Oto co pani mam do zaofiarowania—jest to istotnie tak bezcenne, że nic w zamian żądać nie mogę, aczkolwiek jesteś... tak bardzo piękną...

Zlaną perfumami szyję ściskają metalowe szpony, po przez rodzące się łkanie, głos bez dźwięku:

— „Piękność moja jest warta tylko... złota!...

— „A właśnie... na razie... chwilowo rozumie pani"—wymowny giest ku ścianom i dźwięczny złoty śmiech.

— „A .. tamto...?

— „Wyżyny? Należą do tych, co na braku kręcą karki, gdy schodzą w dół... przez okno. Ja zaś jestem prawym posiadaczem Państwa gwiazd i nie handluję niemi.

— „Targ w targ?

— „Pani, jestem także strażnikiem pereł przed... stadem..

— „Bonsoir"...

— „Bonne chance, Madame".

Obojętna maska stylizowanej strzygi i dworski ukłon rycerskiego pacholęcia.-

Seledynowe wrota państwa gwiazd zawierają swe zimne podwoje, a mgła spływa w zimne łzy, na niespokojnie szarpiące się w nieustannym hałasie miasto.

— „Czy ładna bajeczka, Ania, cicha Ania, co siedzisz milcząc, gdyż posiadasz najchytrzejszą cnotę kobiety: umiesz słuchać i umiesz udać, żeś usłuchała, czy lubisz tę bajeczkę?

— „Nie, twój posladacz gwiazd jest skąpcem i zimnym rezonerem."

— „Dlatego, że nie chciał... w dół. Ależ Ania, ty jesteś wszak otulona nieprawdopodobieństwem, chimerą, dalą błękitną jak wualami sukienki, którą kryjesz zazdrośnie skarby swego ciała, czekasz i szukasz dla kogo mają być... więc jakże, ten brat Chimery powinien ci być bliski?"

— „Powinien był kochać Życie i brać je jak bądź szło ku niemu, to jedne jest silne i piękne..."

— „A ty Ania, jakże kochasz Życie? Zbliska?"

(Ania wzdrygnięciem się, cofnięciem całej skulonej miękkiej postaci, zabrania mi o to pytać i to badać. Nie słucham).

— „Czy nie raczej jak kasztelanka z balkonu? Krzyk życia będzie wył u twego progu z białego marmuru i rozbijał śnieżne, białe płyty (takie zimne) wrzaskiem bólu, a ty będziesz patrzała, badając walkę, jej piękno i szpetność i rzucisz różę... Zwycięzcy czy zwyciężonemu?"

— „Kim chcesz być?"

— „Czy chcesz robić? Stroić mnie w laur zwycięstwa, czy opatrywać rany?"

— „Chcę... wszystkiego."

— „Ale na to, królewno gwiazd, trzeba iść w tłum gawiedzi, trzeba ordynarne z nią odprawiać pląsy, trzeba, żebym ja zmusił się do zniesienia tego widoku i brutalnie zrzucił cię z podniebnej mansardy romantycznego studenta,

kędy się chronisz w popielate, szare godziny od rojowiska świata, jak w miękką watę, otulając delikatną duszyczkę."

— „Chciałabym wiedzieć... chciałabym wiedzieć, co duszyczka moja znieść może?"

VIII. OBCA RZEKA.

Z wiru i tłoku czarnych ludzi, ruchomego tłumu, przedziwnie naśladującego ruchy mrowiska w gorączce, drepcącego tu i tam z gwarem, mającym jakieś znaczenie ciągłe, a poszczególne, składające się z sylab i słów: głupich i mądrych pięknych i plugawych, miłosnych wyznań i rachunków o interesach... Z tego szczekającego cielska o ruchomych czarnych łuskach, którego długi kadłub rozciąga się, prężąc swe muskuły i rozprężając macki, zasuwając je drgającemi skręty w ciasne dalekie ulice. Wielkie latarnie, zielone oczy potwora, rzucały na wodę błyski czujne i szperające, chrzęst łusek dolatywał z dala. Potwór ludzki wielkiego miasta wił się w codziennych konwulsjach w blady, martwy dzień wczesnej wiosny.

Powietrze było nieruchome, zastygłe, ginęły w niem bez echa rozliczne odgłosy. Od tego harkotania przeróżnych głosów objawiających w ten jedyny sposób miljardy żyć krążących w koło... od tego wszystkiego, weszli szybko, na cichy, zamarzły brzeg Sekwany.

Pustka, — martwe jak w sennem widziadle blade domy, o zamkniętych bramach i szklistych, jak oczy trupa, oknach, patrzących bez spojrzenia na rzekę.

Martwa ściana domów, w których nikogo niema — Nikogo?...

A owa obojętna ława ludzka byłaż czem innem, jak dekoracją pejzażu?

Czy była jakaś między ich wzburzonem życiem a nimi wspólność duchowa? Nie byliż i tam samotni?

Ale inna tu się rzecz objawia, tej słuchać będą. Oto przemawia, bierze na własność, zmusza do przynależności coś innego niż ludzi żywi i domy martwe.

Rzeka, drętwa, straszliwa rzeka, bulgocze i przewala się pod diademami lekkich mostów, ciężarem kamieni osadzonych w ziemię wysoko, ponad rzeką tajemniczą i ohydną.

Zielona jest, jak oczy topielic i wypolerowane, gęste swe wody tacza w dziwne, obrzydliwe kręgi. Dlaczego nie ma ona wartkiego prądu, idącego w pewnym kierunku, a tylko w miljonowych wirach, skrętach, obraca się koło siebie, zawraca, cofa, ryje w głąb gęste lejki mętnej cieczy i podnosi się znów do góry, jak wyrzucona czkawką kołujących na dnie trupów. Iluś ich pożarła Rzeko! Pod tem miastem potwornie wielkiem? Iluś z tego mrowiska, z tego zbitego stosu żywych ciał, wzięła w swe chłodne a niespokojne objęcia?

O nie dałaś ty im snu ukojnego, Rzeko! nie utuliłaś ich rozpaczy w ramionach cichych... Tak szamocą się twe wody skute w twarde, murowane koryto... Nie bunt to, nie pęd naprzód, ale ciągły jakby beznadziejny niepokój, jakby z trawiącego bólu na dnie wracał na powierzchnię życia wyrzut, skarga, łkanie.

Mętne, żółto-zielonawe wody, chodzące tam i ówdzie bez kierunku, zdają się nabierać barwy od kąpanych trupów. Nie czyste źródło, dawno zatracone, kieruje twym prądem, ale jakby przewalające się miękkie, lepkie, rozkołysane w Tobie cielska... dzieci twego grodu.

— „A teraz patrz, Aniu, wezmę twą małą rączkę, zimniejącą z niewyznanej przez damę trwogi i wprowadzę cię w miejsce, jedynie dziś stosowne naszym marzeniom.

Wiesz, co to jest, w tym płaskim, oblepionym błotem i afiszami o maskaradach, gmachu? W tem domostwie nad rzeką, która nas właśnie przygotowała do ujrzenia tego, co ofiaruje naszym znękanym oczom? To są jej dary, Aniu. to są jej wyrosłe ze dna mętów, l i m o n i m m o n d e d e c e t t e t e r r e, kwiaty grzechu... nie, rozpaczy — tylko. Grzech już nie istnieje. W objęciach tej plugawej wody brudna dusza topielca odbiera ostatni chrzest przebaczenia. Pomyśl, Aniu, jak istota ludzka przerosnąć musiała bólem wszystko co żyje, jeśli w nadludzkiem zuchwalstwie zamarzyła zabić to, co jest najsilniejsze we wszechświecie, co jest jedyną istotną, realną potęgą, postanowiła z a b i ć ż y c i e.

To zapragnęła w rozpaczy swojej. Unicestwić świat cały. Bo rozumiesz dobrze, nie chodzi tu o wykreślenie z liczby mieszkańców danego grodu tego osobnika, to byłby akt cywilny

nader banalny. I to nie byłaby żadna zemsta wyrządzona życiu; cóż znaczy bowiem jedno drgnienie jej potencji, w porównaniu do miljardów tętniących w atmosferze, nieustannie rodnych atomów.

Nie, tu chodzi o gest stokroć bardziej skomplikowany. O zniszczenie całego świata, istniejącego do ostatniej chwili w rozpryskającym się mózgu, w zalewanej zimną falą pamięci. Cały świat zachwytów i przerażeń, całe cudowne i okrutne stworzenie społeczeństw, ich klęsk i tryumfów, wszystko to zabija samobójca ruchem zemsty i wyzwolenia.

Dla mnie nie będziesz istniał, ponieważ istnieje to tylko, co podlega percepcji moich zmysłów lub myśli. Od chwili, gdy naciskam cyngiel, wyrzucający skuteczny w czynie ołów, od momentu, gdy ostatnim ruchem żyjącym podnoszę do ust pewną formułę apteczną, odtąd, J a, atom wyrzucony z twego łona, o Życie! na mękę, której celu nie rozumiem, protestuję przeciw twoim wszechwładnym wyrokom i usuwam Cię, Ty, przez które istnieję". Od siebie. To dumne, Aniu? prawda?

Być silniejszym od życia, bo je odrzucam, być potężniejszym od śmierci bo jej rozkazuję — Życie mię zmusza b y ć, śmierć w danym momencie niszczy niespodzianie tę wolę i bierze mnie jak łup walki, zawsze dla niej zwycięskiej, Ja zaś stojąc między temi przeraźliwemi krańcami ludzkiego istnienia, postanowieniem swojem, jednym małym ruchem niszczę ich znaczenie i potęgę.

Odrzucam to i biorę tamto. Bo, czy sądzisz,Aniu, że tak straszliwa potęga nie jest zdolna narówni bóstwom stworzyć, jeżeli chce, i n n e Ż y c i e? Stokroć straszniejsze może, stokroć piękniejsze, kto wie, ale inne. I widzisz, to dojście do możliwości zamienienia rzeczy świadomych na nieznane, tego, co jest narzucone, na to, co sam autor swej doli, w wieczności wybrał, to, Aniu, jest już nieludzko piękne i potężne! A teraz, wejdź, pokażę Ci tych mocarzy... Nie spuszczaj oczu... nie trzeba, dlatego, żeś tak piękna, zaniedbywać w sobie siły spojrzenia twarz w twarz szkaradzieństwu. Nie wolno Ci, dlatego, że jesteś arcydziełem życia (przez to panujesz nad niem) nie uznać straszliwej potęgi twórców dobrowolnej śmierci. Stawiam Cię oko w oko z niemi. Ciebie, która jesteś

kochanką Życia, chodzącą po świecie w cichem szaleństwie Twego dla żywiołowych objawów uwielbienia, oto masz przed sobą wszystko, com mógł wynaleźć najbardziej sprzecznego z istotą Twojej natury i com postawił sobie dla kontrastu do pouczającego oglądania. Ze zgrozą w oczach, ze wstrętem, z kobiecym ładnym i obowiązkowym smutkiem spoglądasz, piękna, na te zapadłe, żółtawe skronie i stearynowej barwy policzki, na usta śmiesznie zwęziałe i na zniszczone „łachy" samobójców. Ale w kącikach twych ust o śmiertelnej słodyczy i uroku nieśmiertelnym, cóż dla Boga, znaczy ten uśmiech sceptyczny, nieśmiało drwiący?

Przecie to są wrogowie twoi, to pogromcy Życia, mordercy jego krasy i radości, a w sobie, potęgi jego niedoli i rozpaczy! Czegóż ten uśmiech wobec ich mocy?!. . . . .
Ach tak, Ty... wierzysz w potęgę Życia . . . .

IX. OGRÓD ZAMKNIĘTY.

Owego wieczoru kaprys Ani, czy raczej jej cicha, skryta wola odciągnęła ich od gwarnych, przejaskrawionych ulic obcego miasta; niechętnie odwrócili się od zbiorowisk dzieł sztuki, kędy indywidualności artystów wyprawiały ku uciesze gawiedzi dość jednostajne łamańce, niezaspakajające niespokojnych myśli dwojga kochanków. Męczyły ich te wirujące, błyskotliwe, wykładniki myśli ludzkiej, drażniły, te, jakby zaczęte zwierzenia tłumu twórców, odchodzących z rozpaczą, że nic do dna wypowiedzieć nie byli nigdy zdolni. Pogrążeni w zamyśleniu miłosnem, rzeczy zewnętrzne traktowali, jak dzieci traktują nudnego pedagoga, którego odejścia czekają z upragnieniem, by brodzić w świecie Chimery. Im, sięgającym choćby w nieuchwytnych momentach, dna wrażeń i kresu uczuć, świat zewnętrzny szarzał dziwnie i odsuwał się, jak suche formuły, których zasadę zapamiętać trzeba, by nie skręcić karku, ale które śpią we wnętrzu podróżnej kasetki „na wszelki wypadek" tylko. Zwłaszcza Alo lubił gubić się w samotności, łatwiej wtedy odnajdując siebie, w odosobnieniu od męczącego gwaru, wśród którego Ania wydawała mu się zbyt mądra i pewna siebie, zbyt odważna, niezależna i kręcąca się jak salamandra w ogniu spojrzeń i słów.

Cała jej piękność i urok rozpraszały się wtedy w złoty pył, rozsiewany wkoło, ćmiący ludziom zachwycone oczy, karmiony i karmiący się tłumem. Ania właśnie wtedy czuła się najzuchwalej samotna, najdumniej odosobniona, gdy otaczał ją rój męskich pożądań i kobiecych zawiści, czerpała z tych prądów siłę, piękność zalotną, wciąż nową, odtrącała Ala, zdawało mu się, o sto mil obronna uśmiechem swoim i wirem ludzi wkoło.

Alo nie chciał nic brać z otoczenia istot żywych, wyrabiał w sobie posłuszeństwo Chimerze własnej duszy i jej nieustającym poszukiwaniom. Więc owego wieczoru wsparci jedno o drugie z rozleniwieniem ciał i niecierpliwą ciekawością szukania nowej taśmy obcowania, skierowali się ku cichej, ciemnawej dzielnicy olbrzymiej stolicy, zatapiającej ich dwoje w swem nieustannie ruchliwem łonie tak, jak morze grąży w swej głębi i kołysze na fali niefrasobliwe „wesołe żyjątka".

Wielki ogród, otoczony ostremi, smukłemi prętami, kutemi z żelaza, zastygł w cień i bezruch wśród lśnień i migotań, otaczającej dzielnicy. Świeżo spadły krótki deszcz wiosenny wydobył z kamieni, drzew i kwiatów ów zapach przedziwnie podniecający, poprzez który tłumaczy się wiele odruchów i uczuć przebiegającego tłumu. Powietrze nowe, wonne i świeże m u s i a ł o coś nowego tworzyć w rozbieganych, hałaśliwych tworach dwunożnych, ruszających się z irytującym pośpiechem, wkoło cichych, dostojnych drzew zamkniętego ogrodu. Koniecznem się wydawało, że ruchy ich są bez sensu, cel błahy, a bieganina bezcelowa.

— „Ale nie trzeba im tego mówić, Alu, boby stracili całą radość i sens życia" — mówiła Ania, na jego uwagę. Szli się zdala od przechodniów, ciemnym, szerokim chodnikiem, w podcienia drzew, brzegiem ogrodu, obchodząc jego strzeżone żelazem granice. Latarnie zrzadka przygważdżały granatowy płaszcz nocy, otulonej w domino, na maskaradę, w czasie której będą się działy rzeczy niesamowite, zbrodnicze i trywjalne. Jakiś bardzo błękitny księżyc ukazał twarz opasłego r e n t i e r i dał się otulić w puchy szarosrebrnej chmury, tamaniącej staremu łobuzowi oczy. Poprzez żelazne pręty

ogrodzenia widniały alejki zawiłe i żwirowane, niskie krzewy i korony wielkich drzew, to tu, to tam, kołysały się fale konwaljowych i narcyzowych zapachów. Każdy kwiat podawał zawoalowanej damie — nocy swój flakonik perfum i pragnął w swym krótkim żywocie dowiedzieć się od niej wszystkich jej tajemnic i towarzyszyć jej we wszystkich przygodach, jakich dziś właśnie dozna. Noc zgarniała w aksamitne domino wszystkie aromaty ogrodu i gwar miasta i leniwie, cicho snuła dalej swe, nikomu nieodkryte, zamysły.

Nagle, w gęstwie drzew usłyszeli obok siebie łkania stłumione skrytej fontanny. Ania drnęła. Zdawało się jej, że noc nieprzyjazna i podstępna wydarła jej jakąś tajemnicę i wyśpiewywała ją teraz na kryształowej fletni, pełnej łez, śmiechu i łkania.

— „Słyszysz, Alu“ — szepnęła przejmująco, stając oparta o pręty ogrodzenia — „słyszysz, co ona mówi?“

— „Łka niespokojnie i pośpiesznie“... odparł, Alo, obejmując ciaśniej jej gibką kibić, gnącą się wśród fałdów miękkiego, ciemnego, jak wieczór, jedwabiu, ze sprężystością, sprawiającą mu nigdy niezawodny kurcz namiętności.

— „O jakiż w tym głosie jest żal za każdą upływającą chwilą, za każdą rozproszoną, idącą niewiadomo gdzie, kroplą, a zarazem pośpieszne pytanie, oczekiwania następnej?

— „Inna jest dla Ciebie następna ze mną chwila?“

Zawahała się, słuchając pokusy skłamania, ale dumne wargi odniosły się do tej myśli pogardliwie i odparła zimno i bezwzględnie:

— „Inna, interwalle następujących po sobie odczuć twej obecności są tak rozmaite, że w tem właśnie jest urok twej miłości, że nadajesz się do tego. Smutno mi — rzekła drgając z bólu, i nie zupełnie wiem, czemu. Twój uśmiech jest tak zanadto uroczy, Twe oczy, Alu, tak zbyt boleśnie namiętne, że miesza mnie ta świadomość czyjejś wkoło mnie woli i chęci, jakiejś siły, przez którą przedrzeć się nie mogę, jak nie mogę przejść przez ów mroczny, zaczajony ogród, ogrodzony żelazną kratą“—uderzyła dłonią w zimne żelazo,—„a wejść, wejść, i przejść aż... na tamtą stronę, zdeptać szybkiemi kroki wymuskane trawniki, zajrzeć w każdy pąk, w każdy

mroczny gąszcz. słuchać, przyłożywszy ucho do pnia, jak z głębi ziemi ciągnie drzewo. wysiłkiem swego instynktu, soki, potrzebne, by wyrosły te niebotyczne korony".

— „Dlaczego zamilkłaś?"

— „Żeby o tem głębiej się zamyślić".

— „I skrycie?"

— „I może skrycie. Nie utaję przed tobą, co się już sformułowało w mej myśli, ale odpowiedzi szukać chcę tylko w sobie, w tej przepastnej głębinie, dokąd nikt nie zagląda".

— „Prócz ciebie".

— „Prócz mnie.... z obawą...."

— „Boisz się samej siebie, Ania? Ja także boję się dla ciebie, nie tego zła, które sobie kiedyś wyrządzisz. to samozniszczenie pociąga cię i kusi, rzucasz nieustannie siebie na kartę i dźwigasz bez trwogi ciężar badań nad sobą i ludźmi, z odwagą archanioła, walczącego w światłości ze zbuntowanymi braćmi. Ale drżę na myśl, jak cię złamać potrafi cudzy ból na to nie jesteś. Ania, zdaje mi się dość silna? Potrafisz doskonale odejść od kochanka, utulając jego żal pieszczotą, pełną nadziei, wmawiając sobie, że nie zadajesz wielkiego bólu, ale nie zdołasz wstrzymać się od chęci wdarcia się w zamknięte żelaznemi prętami ogrody i wtedy. Ania, gdy otworzysz wszystkie cieplarnie, wszystkie zdepcesz ścieżki, nie zdołasz już wyjść bez bólu, zaczaruje cię zamknięty ogród duszy bliskiej, a wiecznie tajemniczej, zabraknie ci odwagi opuścić jego niezliczone, kuszące głębie, strach cię weźmie na myśl o pozostawieniu za sobą ruiny zniszczenia. Więc. Aniu, wejść i zostać, lub.... nie wchodzić wcale".

— „O zamknięty, zamknięty ogrodzie! Dlaczegoś tak niespokojny, mimo cienia i ciszy, dlaczegoś tak daleki, choć też, też kwitną róże twoje i bzy... ogrodzie kuszący, być może, że znajome ścieżki są tylko złudą wspomnienia, że nic nie istnieje w nim z tego, cośmy w dzień roześmianemi oglądali oczami; albo, że wszystko się zmieniło. Czy myślisz, że możemy być tylko złudą wzajemną?

— „Nawet teraz mogę to myśleć, bo wszak wspomnienie, nie da nam nic innego, jak to, co teraz widzimy i czujemy. I teraz wszystko jest złudą!

— „A ja myślałem, że właśnie teraz myśli moje mają istotną prawdę i siłę".

— „Myśl jest przecież złudzeniem wyobraźni".

— „Nie jest jedyną prawdą, momentem istotnym i mogącym być nieśmiertelnym, czyn daje fałszywe wrażenie istotności, gdyż jest tylko fizycznym obrazem myśli. Zwierciadłem, kędy się odbija zdeformowany kształt mojej woli".

— „Tylko... czyn jest dokumentem, czyn jest podpisem na wekslu, płatnym z konieczności, by dowieść, przez głupią próżność, świata, że się jest twórcą, że się coś myślało... I poco pytam!? Jeśli ja to już wiem sam"!

— „Jakiż teraz czyn?!!"

— „Na razie... miłości... na razie nic innego, Ania, dowieść realnie nie potrafię. Gdy cię biorę w ramiona, zdaje mi się, że świat cały dzierżę w twardych dłoniach i posiadam go jak władca, i tworzę ból, lub rozkosz... ale wiem oczywiście, że tu chodzi, narazie, tylko o kobietę".

— „Której nawet nie masz .. Czy nie widzisz, że jestem przechodzącą dziewczynką, która, zaglądając weń, m i j a jednak ogród i... gapi się na gwiazdy"·

— „Zwrócisz wzrok na ziemię, zaręczam ci, Ania".

— „Będzie to dla nas obojga nieszczęśliwa godzina".

— „Może tak — może nie".

X. M O S T.

Stali oparci o kamienny most ciężki, a mimo to chwiejący się w dygotach tajemniczego śmiechu, pod przewalającym się bezustannie ciężarem wozów, automobilów, tramwajów i tętniącym tupotem tysięcznych kroków stóp ludzkich. Kroki te wybijały ciągły, bez wytchnienia rytm, gorączkowego pulsu miasta i stojąc na owym moście, można było, dygocąc wraz z nim, mierzyć przyśpieszone tętno potwornego życia, jednej ze stolic świata. W przestrzeni ciemnej nocy, tupot ów i szelest był też jak czynny głos aparatu telegraficznego, zwiastujący tysiące dziwów na wsze strony, tajemniczemi znakami, które mogą odczytać tylko wtajemniczeni. Most absorbował, brał w siebie te odgłosy, te tętenty znaczące i rozgłaszał je, drgając gorączkowo, przeniknięty cały elektrycznemi,

miljonowemi dotknięciami stóp ludzkich, które wszystkie dążyły kędyś, posłuszne nakazom mózgu. Kamienne przęsła i balustrady, żelazne spoidła i tłasty, lepki od naniesionego brudu chodnik drżały wszystkie, przeniknięte nawskróś pośpiechem myśli i pragnień ludzkich, lecących przez ów kamienny przesmyk, łączący dwa brzegi rzeki, dwie dzielnice.

W czerni żałobnej nocy, bez gwiazd ni księżyca, w puchu mgieł nadwodnych światła zdali z brzegów zapadały w czarny nurt, drżące, jakby rozełkane, w głąb wody, przyjętej z głębin idącym zimnym dreszczem wstrętu, trwogi, niepokoju. Drgała czemś zniecierpliwiona rzeka, dygotał most znerwowany, przerażone, wstrętnie tchórzliwe światła szukały poomacku miejsca, by skryć się w czerń wody i budować w niej efemeryczne, tysiąckolumnowe pałace, roztrzęsione, zbyt jawnie złudne, zbyt widocznie bezsensowne.

Być może, że drżeli też i ludzie.

Uciekali wciąż od strachu, który ich pędził w dal wilgotną i zimną, znajdując w ruchu rozgrzewającym ich ciało, ukojenie i upojenie się złudą, że istotnie idą do jakiegoś celu, i że nawet, nawet, należy się śpieszyć! Paryż przeżywał swą wieczorną godzinę przyśpieszonego tętna życia, puls wielkiego zbiorowiska, miał swe wieczorne „podniesienie temperatury", budzące pragnienia, chęci, porywy szybsze, niespodziańsze, niż o innych porach dnia. O tej godzinie ludzie chcieli więcej i namiętniej, o tej godzinie przesycone wyziewami stolicy powietrze nasycało się prądami pragnień ludzkich i stawało się atmosferą podniecającego pijaństwa.

— „Wszystko złe i dobre wyjaskrawia się tu o tej godzinie" — mówiła cicho Ania, stojąc oparta o most i przytulona jak najbliżej do Ala.

— „Może to jest godzina szczerości"... odszepnął przysuwając ją do siebie jeszcze ciaśniej.

— „Godzina pragnień, pełnych nadziei, że będą zaspokojone".

— „O tak, Ania, godzina pragnień łatwych do zaspokojenia".

Zajrzała mu w oczy i odwróciła głowę, nie ujrzawszy nic prócz faunowskiego apetytu przeciętnego mężczyzny. Wnet postanowiła przeciwstawić temu uczuciu swój wstręt do tak

— „A ja myślałem, że właśnie teraz myśli moje mają istotną prawdę i siłę".

— „Myśl jest przecież złudzeniem wyobraźni".

— „Nie jest jedyną prawdą, momentem istotnym i mogącym być nieśmiertelnym, czyn daje fałszywe wrażenie istotności, gdyż jest tylko fizycznym obrazem myśli. Zwierciadłem, kędy się odbija zdeformowany kształt mojej woli".

— „Tylko... czyn jest dokumentem, czyn jest podpisem na weksla, płatnym z konieczności, by dowieść, przez głupią próżność, światu, że się jest twórcą, że się coś myślało... I poco pytam!? Jeśli ja to już wiem sam"!

— „Jakiż teraz czyn?!!"

— „Na razie... miłości... na razie nic innego, Ania, dowieść realnie nie potrafię. Gdy cię biorę w ramiona, zdaje mi się, że świat cały dzierżę w twardych dłoniach i posiadam go jak władca, i tworzę ból, lub rozkosz... ale wiem oczywiście, że tu chodzi, narazie, tylko o kobietę".

— „Której nawet nie masz.. Czy nie widzisz, że jestem przechodzącą dziewczynką, która, zaglądając weń, m i j a jednak ogród i... gapi się na gwiazdy".

— „Zwrócisz wzrok na ziemię, zaręczam ci, Ania".

— „Będzie to dla nas obojga nieszczęśliwa godzina".

— „Może tak — może nie".

X. M O S T.

Stali oparci o kamienny most ciężki, a mimo to chwiejący się w dygotach tajemniczego śmiechu, pod przewalającym się bezustannie ciężarem wozów, automobilów, tramwajów i tętniącym tupotem tysięcznych kroków stóp ludzkich. Kroki te wybijały ciągły, bez wytchnienia rytm, gorączkowego pulsu miasta i stojąc na owym moście, można było, dygocąc wraz z nim, mierzyć przyśpieszone tętno potwornego życia, jednej ze stolic świata. W przestrzeni ciemnej nocy, tupot ów i szelest był też jak czynny głos aparatu telegraficznego, zwiastujący tysiące dziwów na wsze strony, tajemniczemi znakami, które mogą odczytać tylko wtajemniczeni. Most absorbował, brał w siebie te odgłosy, te tętenty znaczące i rozgłaszał je, drgając gorączkowo, przeniknięty cały elektrycznemi,

miljonowemi dotknięciami stóp ludzkich, które wszystkie dążyły kędyś, posłuszne nakazom mózgu. Kamienne przęsła i balustrady, żelazne spoidła i tłusty, lepki od naniesionego brudu chodnik drżały wszystkie, przeniknięte nawskróś pośpiechem myśli i pragnień ludzkich, lecących przez ów kamienny przesmyk, łączący dwa brzegi rzeki, dwie dzielnice.

W czerni żałobnej nocy, bez gwiazd ni księżyca, w puchu mgieł nadwodnych światła zdali z brzegów zapadały w czarny nurt, drżące, jakby rozełkane, w głąb wody, przyjętej z głębin idącym zimnym dreszczem wstrętu, trwogi, niepokoju. Drgała czemś zniecierpliwiona rzeka, dygotał most znerwowany, przerażone, wstrętnie tchórzliwe światła szukały poomacku miejsca, by skryć się w czerń wody i budować w niej efemeryczne, tysiąckolumnowe pałace, roztrzęsione, zbyt jawnie złudne, zbyt widocznie bezsensowne.

Być może, że drżeli też i ludzie.

Uciekali wciąż od strachu, który ich pędził w dal wilgotną i zimną, znajdując w ruchu rozgrzewającym ich ciało, ukojenie i upojenie się złudą, że istotnie idą do jakiegoś celu, i że nawet, nawet, należy się śpieszyć! Paryż przeżywał swą wieczorną godzinę przyśpieszonego tętna życia, puls wielkiego zbiorowiska, miał swe wieczorne „podniesienie temperatury“, budzące pragnienia, chęci, porywy szybsze, niespodziańsze, niż o innych porach dnia. O tej godzinie ludzie chcieli więcej i namiętniej, o tej godzinie przesycone wyziewami stolicy powietrze nasycało się prądami pragnień ludzkich i stawało się atmosferą podniecającego pijaństwa.

—„Wszystko złe i dobre wyjaskrawia się tu o tej godzinie“— mówiła cicho Ania, stojąc oparta o most i przytulona jak najbliżej do Ala.

—„Może to jest godzina szczerości“... odszepnął przysuwając ją do siebie jeszcze ciaśniej.

—„Godzina pragnień, pełnych nadziei, że będą zaspokojone“.

—„O tak, Ania, godzina pragnień łatwych do zaspokojenia“.

Zajrzała mu w oczy i odwróciła głowę, nie ujrzawszy nic prócz faunowskiego apetytu przeciętnego mężczyzny. Wnet postanowiła przeciwstawić temu uczuciu swój wstręt do tak

prostego ujmowania faktu, tak długo, aż uczucia Ala się skomplikują i ubiorą w sztuczne girlandy, koniecznie potrzebne kobiecie, by się zgodziła na wszystko, co nakazuje natura. Przelotnie przypomniała sobie niedawny raut, gdzie Alo uwielbiającem otaczał ją spojrzeniem i błagalnym wzrokiem składał hołd jej piękności i srebrno-niebiesko-popielatej sukni, owijającej ją długiemi draperjami. Wtedy, wśród tego tłumu oczu ludzkich i komentarzy była gotowa wyjść z nim gdziebądź, gdzie by chciał, w noc, w deszcz, w śnieg. w burzę. Bo wzrok jego odgradzał ją od tłumu, czynił z niej królowę, uwielbioną ponad inne kobiety, i tylko miłość była w jego spojrzeniu... Tylko miłość...

Chybotanie się mostu, raz po raz nadawało Ani biodrom drgania, trącające nią o Ala, i jemu, ten niedostrzegalny, drażniący ruch sprawiał wrażenie, jakby wszystkie tupiące, lecące za niemi bestje rzucały mu się do gardła ze stalowemi pazurami, wołając:

— „Bierz ją"!

Pełgające płomienie żądz przecinały go wskroś i zacinały szczęki w spazm dzikiej rozkoszy, na myśl, że są oto tak sami, zatraceni w noc i tłum, niezależni od nikogo i niczego. Pragnął tylko uprowadzić Anię z tego tętniącego mrowia i jej chęci tylko zawdzięczać dar ciała i rozkosz pieszczot. Obrzydliwą mu była myśl, że na nią, na tę istotę odosobnioną przez niego i przez jej właściwości psychiczne od tłumu, działa jednak motłoch, że ten wytworny cudek, wonny niepokalaną czystością ciała, o duszy aż męczącej przeładowaniem intellektu, że ta istota, tak daleka w głębi swej psyche od ludzi, w tej chwili zdaje się być drgającym instrumentem tej symfonji nocy i tłumu, jedną kroplą krwi tętniącego organizmu miasta.

Miał wrażenie, że on sam niebacznie wywlókł i poniewiera Anią w tem kłębieniu się robactwa, i miał do niej wzrastającą urazę, że nie otrząsa z siebie ze wstrętem otaczających prądów, parujących z tej głupiej ludzkiej giestykulacji, ale przeciwnie, jakby się tem poiła i podniecała.

— „Chodźmy stąd, nie znoszę tego kontaktu z motłochem" — rzekł twardo, otaczając Anię ramieniem, gdyż tłoczący się przechodnie, potrącali ich wciąż w gorączkowym pośpiechu.

— „Nie, przecie to jest ten wspaniały rytm życia, nie czajesz jego potęgi, nie awielbiasz jego różnorodności"?

— „Widzę jego brzydotę i czaję jego wyziewy".

— „Ale... siła"?

— „Ach, kobiety, doprawdy, należy brać jeszcze teraz i zawsze chyba sposobami jaskiniowemi! Czy siła jest pięknem? Siła, bratalna zwłaszcza, siła. depcząca coś tak, jak ci wszyscy idący, z których każdy, jeśli czegoś i kogoś j e s z c z e nie depcze, to c h c e deptać i, wystukając swe małpie skoki na asfalcie, wprawia się w deptaniu po bliźnich, daje sobie zarozumiałe świadectwo, że tak oto, pewnie, „bohatersko" potrafi na czemś i na kimś postawić stopy. I to dopiero będzie oceną jego wartości (w jego oczach), jak dalece potrafi zgnieść, co się da, by samemu na tem się upaść, atyć i rozrosnąć".

— „Albo wyrosnąć? Czy i wtedy niewolno używać ludzi za szczeble, gdy się idzie wzwyż?"

— „Któż ma tu być sędzią i pozwalającym, czy ten deptany"?

— „Człowiek silny, mający poczucie siły, nie pyta".

— „Jaskiniowiec też nie pytał".

— „Ty nie chciałbyś być silniejszym?"

— "Od ciebie,? o tak... ale...".

— „A potem zobaczymy, co? Widzisz więc, jakie i w tobie drzemią instykty pierwotne... cóż pomoże z nich się otrząsać, nie zmienimy ustroju natury ludzkiej, jakkolwiek zamiast rozrywać ochłapy mięsa pazurami—siedząc w kucki w jaskini, okryci niwyprawną skórą dzikiego zwierzęcia, spożywamy na sewrskiej porcelanie podane c h a u d,—f r o i d, srebrnym widelcem, „umanikurowanemi palcami", okryci kilkunasta kawałkami szmat. Mimo to... początek i koniec tej funkcji pozostał jednakowy... i tak z resztą rzeczy".

— „Walka w dżungli została, istotnie, z powierzchownemi zmianami tylko. Więc poco tyle wieków myśli, zmian, kodeksów, szukania? Poco tyle krwi spłynęło w tę tu rzekę? Mogłyby jej wody być czerwone..."

— „Tego ja, kobieta, nie wiem? Skądże aż takie rzeczy wiedziećbym mogła, tylko to wiem i myślę że wiem najważniej

sze: trzeba posiąść dar wżywania się w każdą lotną chwilę swego życia i zlewać ją harmonijnie z otoczeniem".

— „Przeciwstawiać otoczeniu i wyodrębniać się, to rozumiem".

— „I tak... każde z nas jest mimo to samotne".

Poczuli się oboje dalecy od siebie i obcy, dzielił ich, odbierał sobie ten wirujący ruch, jednostajny, a niezlewający rozproszonej energji w jedną całość. Pomiędzy nich wkradały się okrzyki, szczekania i gęgania tego motłochu, nic nie mówiącego do nich, a dającego im dziwnie smutne wrażenie zbłąkania i samotności.

XI. POGMATWANE NICI.

Ania opiera swą twarz zbyt wymowną o miękki jedwab poduszki i wyciąga się rozkosznie w fotelu. Czuje, że nie jest zdolna panować nad tem, co się maluje na jej twarzy, w analogji z jej myślami. A nie chce się zdradzać. Nie chce nic powiedzieć milczeniem, a ujarzmia ją natłok wrażeń, przeszkadzający mówić. Jak żywa struga wody srebrno - niebieskiej, spływa po niej fałdzista szata pod którą rysuje się jędrne, marmurowo białe i chłodne zawsze ciało. Alo nienawidzi milczenia Ani, chociaż męczy go czasami do sennego odurzenia jej niespokojne niedyskretne wdzieranie się we wszystkie wrażenia, określanie ich i wywlekanie na jawność Wolałby więcej skupienia, ale gdy ją widzi zamyśloną, wie doskonale, że nie jest to przetrawianie przez normalny organizm odebranych wrażeń zewnętrznych, jeno odrzucanie od siebie świata rzeczywistości i poszukiwania tajemne, o których m ę ż c z y z n a nie miał pojęcia, gdzie mogą zaprowadzić k o b i e t ę. Jego kobietę!! Takie zamyślenie Ani, które nie jest ani rozkosznie sennem rozleniwieniem hurysy, ani poczciwą troską o jutrzejszy obiad, uważa Alo za wprost ubliżające. Niepokoił się tajemniczym, nieznanym sobie tłumem gości — myślątek, nawiedzających jej pochliwą duszyczkę. Zastanawiał się, czy ma namiętnie wciskać się między ten tłum nieznany i może wrogi, czy zgryźliwie domagać się meldunku, stojąc na straży? Czy być szpiegiem, czy tyranem?

Czy zmuszać swą ordynarną ciekawością kobietę do ukrywania tego, co obecnie tylko.. zamilcza?

— „Aniu, czy trzeba być panem Twoim"?

O, te oczy, te oczy pokornie przewrotne, z dołu błagające z uśmiechem przekory, to schylenie głowy nisko, aż usta pąsowe dotykają dłoni „Pana", drżąc, ze wzruszenia? czy w ironicznym uśmiechu?..

— „Tak? Prawda? Trzeba? i ty wiesz, że tak, i że nie trzeba, żebym ja wiedział, że ty tego pragniesz—".

Milczenie i uśmiech, o jakże wykrętny!

— „Czy mam pytać, czy zgadywać, czy mam despotycznie wydzierać ci myśli, czy je kraść w pocałunku? Czy mam męczyć się i wyszarpywać z ciebie twoje tajemne zamysły, czy też.... może, Aniu, trzeba, żebym trochę cierpiał?

— „To, tak".

— „Ach tak? Ale jakże się to stało, Aniu? Jestem pełen szczęścia i upojenia, jak czara... Niech żaden ruch nie naruszy napiętych do szaleństwa zmysłów. Trwam w stanie skrystalizowanej rozkoszy, jak stężały w skale diament. Wszystko wzięłaś ze mnie, jak morska otchłań przygarnia załogę przepadającego statku, wszystko rzuciłem w ciebie. Jestem, jak martwy i nieczuły skarbiec.... rozrzutnością władcy opustoszały Moje przepastne, klejnotne morze, odnajdęż w tobie wszystką rzuconą w grze miłosnej fortunę? Rzucać będę skarby szybkozmienną żywą falą?"

— „Aniu, jestem dziecko o słabym, słodkim uśmiechu wdzięczności, zadowolonej rozkoszy, odrętwiałej słodyczy. Czy w tobie jest tryumfalna radość posiadania?"

— „Ja czekam".

— „Czego"?!

— „Czegoś.... innego".

— „Jakto, Aniu"?

— „Bardziej wyraźnego objawienia się tęsknoty, do zupełnego oddania i posiadania".

— „Kobieto, dajesz rozkosz nie do pojęcia, niema atomu twego ciała, któreby nie czuło władczej siły mężczyzny, jesteś moją własnością i przeniknięta tem wszystkiem, co ja daję tobie.

— Jestem przeniknięta lotnym niepokojem, niema atoma mego ciała, któryby się nie rwał w przestrzeń, w namiętnem poszukiwaniu tego.,.. przeczatego".

— „Ania, to straszne słowa i dalekie"....

— „Jakiś ty piękny, Alo, młody i namiętny kochanku, jakie słodkie usta, jakie pieszczoty.... pocóż myśli, słowa, pytania? — Całuj. Wystarcza".

XII. GŁOSY I ŚWIATŁA Z DALI.

Ania i Alo przebywali w owej godzinie nocnej u „Wyjątkowego Przyjaciela", bowiem byli raczej samotni i w sprzeczności z ludźmi naokół. Ale ten człowiek był też lubem dziwadłem człowieczem i otaczał się żyjącą atmosferą myśli i myślących przedmiotów zbiorowiskiem, więc czasami zaglądali do niego, i jego egoizm mądrego samotnika był im rad, ponieważ mu nie psuli harmonji mieszkania i myśli. Im zaś było tam dobrze. Cicho. Spokojnie i wyjątkowo przyjaźnie, zwłaszcza, że wszystko troje wiedzieli, że są to chwile przelotne, więc cenne. Ania siedziała na oknie, założonem adamaszkowemi poduszkami, tkanemi w Genui w purpurę i złoto, białe stópki oparła na miękkiej, przepaścistej kanapie, kędy siedzieli panowie, sącząc blond wino, chyboczące się złotawemi kręgi w tęczowych weneckich szkłach. Zdawało się, że piją promienie słońca z kielichów kwiatowych ogrodów Klingsora. „Wyjątkowy Przyjaciel" chciał istotnie dać im napój zapomnienia i zdawało się im wszystkim, że się tak stało, że są tylko szczęśliwi lekkiem, musującem i bez troski szczęściem, jak to wesołe wino, krew ziemi słodkiej Francji.

„Wyjątkowy Przyjaciel" snuł się cicho po mieszkaniu, znosząc do stóp Ani cuda swych zbiorów; pochylali się nad zakurzoną mądrością wieków i widzieli, że są w przestrzeni czasów, nic nie znaczącemi atomami. Brali w ręce subtelne sztychy i dziwne klejnoty, ciężkie, ślizkie od wetkanych metalów przesuwały się przez palce Ani welony i pasy, grając połyskliwą strugą barw, zetlałych i szepcących pradawne dzieje, a tak podobne. Indyjski, złotawy, malowany w ciemno fioletowe smoki szal, owinęli na Ani ramiona, że siedziała jak jawajska tancerka, zasłuchana w głosy okrutnych bóstw tropikalnych

Przyjaciel suchy, zwiędły, Dr. Spallanzani z bajek Hoffmana, chował w cichym chichocie ogolony, suchy podbródek w czarną chustkę, wiązaną w węzeł na wysokim kołnierzu i opowiadał im cudeńka o ludziach i rzeczach. O ludziach mówił źle, o rzeczach z miłością i dlatego Alo go lubił, a Ania się z nim kłóciła.

Owej nocy jednak napój zapomnienia, pachnący kwieciem i radością słońca, usposabiał ich płocho i zamieniali myśli śliczne, ponętne i subtelne, jak te rzeźby i jedwabie, które pieścili w dłoniach. Każdy pokój był inny w tem mieszkaniu w każdym też trzeba było myśleć inaczej, wybrali dziś nie napoleoński gabinet, nie buduar pompadour, nie holenderską jadalnię. ale ten renesansowy salon, puszysty i zatulny. Nic złego, żaden głos szarpiący nerwy nie mógł tu dochodzić. W purpurowych falach łagodnego światła lampy nurzały się ich myśli, jak w ciepłej zorzy, dającej krwi ciepło bez gorączki a myślom rozlewność bez tęsknoty. Milczeli też od czasu do czasu w sposób przyjemny, nie przeszkadzając sobie oceniać rozkoszy ukojnej chwili. Wtem Ania otwarła szerzej uchylone i zatulone firanką okno i wychyliła się ku granatowej przestrzeni nocy. Całe miasto, jak myśl i oko sięgnąć mogły, migotało światełkami, jakby pospadały gwiazdy z ciemnego nieba, na którem nie było ani jednej.

— „Znikły z góry gwiazdy i zeszły do ludzi“ — szepnęła Ania, ale jej nie usłyszeli na szczęście mężczyzni.

— „Słyszy pani... o tej godzinie gwizd lokomotywy — to pociąg idący na północ... do kraju, pociąg, którym nigdy wyjechać nie mogę“—rzekł „Wyjątkowy Przyjaciel“, wskazując ręką kierunek, kędy z dali, z za rzeki, płynącej prawie u stóp domu, z za domów ozwało się tęskne, rozpaczliwe wołanie lokomotywy.

— „Nie próbował pan w przebraniu?“ spytał Alo.

— „Ja? Nie jestem do nikogo podobny, a zresztą.. zmęczenie... zamieranie... ale i tęsknota“ —usłyszeli cichą odpowiedź,

— „Wołają“, szepnęła Ania...

-- „Kto?“ niedosłyszalnie, z trwogą prawie rzekł Alo.

— „One... słyszysz?“ wzięła go w pół i wychylili się oboje przez okno. Na prawo i na lewo, w kamienne wały ujęta,

sunęła rzeka czarna, lśniąc konwulsyjnemi drganiami tam, gdzie zapiekł jej nurty blask latarni. Duże barże, pełne ciężarów i niewidzialnych ludzi, sunęły bezgłośnie i straszyły świat oczami potworów, siejących parą z pyska, mgły bowiem otaczały kolorowemi smugami pąsowe, zielone lub żółte oczy, szukające sobie kierunku po ciemnej drodze wodnej. Był to jakby korowód smoków, pełzających na zdobycie jakichś bezkresów, chcących dokonać czegoś potwornego samem wywołanem przerażeniem, prześcigających się w opasłym pędzie ku złemu celowi.

Ponad tem niosły się rozpaczliwe głosy lokomotyw. Wołały. Tęsknota, żal, wezwanie, rozdzierające jęki proszących istot były w tych głosach dalekich; ciągnęły za serce, za gardło rwały w szmaty myśli, magnetyzując jednym nakazem:

„Pójdź, pójdź—wołała jedna—„och, och, chodź, leć, leć, ze mną. ze mną, w słońce, w blask, nad szafirowe może, kędy w gąszczach laurowych nagi. młody Faun całuje w same usta małą pasterkę kóz. Cho, cho, cho,—chichotała stalowa chimera“— chodźcie, chodźcie w moje objęcia, dam wam te czary, te rozkosze. te cuda, utulę w swem cielsku cudownie mądrem, i pysznem, sunę w przestrzeń i rzucę na pastwę losu tam, kędy jasne bożyce uwieńczą miłość waszą różami“.

„Ooooch... ochocbooo“... jęczała inna, łkając i śmiejąc się, jak człowiek na torturach, w spazmie bólu, graniczącego z szaleństwem, —„ocho...chodźcie, wracajcie. jak mogliście żyć spokojnie... Pójdźcie! Wezmę serca wasze i mozgi i ciała całe w stalowe moje mięśnie. gnieść, gnębić, targać wami będę do bólu, do szału, zaciętą wściekłą nienawiść wydobędę z was męką.. Nieść was muszę, muszę, muszę drogą daleką na północ, na północ... w chłód, w mrok niewoli. pęt, buntu i błędnych dróg... tam, gdzie wszystko jest męką. niepewnością i namiętną walką... tam, gdzie jest wasz kraj... wasz kraj... wasz oooch kraj“...

Mrok nocy i puch mgieł rozdzierany temi głosami drgał cały i potęgował te jęki.

Jednocześnie obrócili ku sobie twarze surowe i zbladłe.

— „Wracamy“.

— „Musimy wracać“.

Te słowa padły jednocześnie, stanęli obok siebie. „Wyjątkowy Przyjaciel" spoglądał na nich szaremi oczkami z pod szarych rzęs, trochę drwiąco, ale jak zawsze, rozumnie.

— „Nie tak łatwo, najdrożsi, ujść z Karreolu, legendarnej krainy, kędy się umiera z miłości".

— „Jeszcze żyjemy".

— „Zechcecie nieraz umierać, tam".

— „Tam, zechcemy po stokroć zmartwychwstania"...

XIII. LIST ANI.

„Z niezmiernem uczuciem ulgi i zepomnienia dążę w ciche, puste, zasłane miękkiem listowiem drożyny. Nikogo, żadnego głosu, żadnego szmeru, zaledwie dosłyszalny szelest opadającego liścia, czasami leniwie kołyszącego się w nieruchomem, kryształowem powietrzu. Martwe, blade nademną niebo. Czarowne wzgórza,płowe u stóp błękitnej Wilji ciemno-zielone u góry, bururade w głębokich, wilgotnych wąwozach, kędy latem wśród szmaragdowej zieleni tak słodkie, tak czerwone dojrzewają maliny. Cały gaj, biegnący po pochyłościach kapryśnych brzegów Wilji, zamiera cicho i dostojnie. Już dał ze siebie cały letni wysiłek i układa się do snu. Oto sad wiśniowy i krzywe jabłonie, które witały mię na wiosnę śnieżystą szatą kwiecia, na którem szalały z rozkoszy pszczoły, dziś różowo-purpurowe strząsają listeczki. Delikatne płowe wierzby, co tak niedawno zamiatały wodę warkoczami jasno-zielonych gałęzi, dziś stoją skulone, garbiące się z chłodu i rzucające powoli zmiętą szatę letnią. Wśród ciemnej zieleni świerków, tu i owdzie złocistość osin, lip wytryska ostatniem lśnięciem bogactw jesieni, ostatnim błyskiem słonecznym, nim żałoba zimy w biel śniegu i czerń szpilkowych gałęzi ubierze te wzgórza.

Cisza, cudowna, nienaruszona cisza. Niema nigdzie człowieka, niema nawet jego śladów. Czy być może, że tam, za tą ścianą boru, kłębią się tysiące istot cuchnących i wstrętnych, że tam to właśnie są moi bliźni, rodacy, ludzie? Że ich to namiętności, grzechy i cnoty, ich krwawe walki i nienawiści, głupstwa i szkarady, cierpienia przejmują mię więcej i skuwają mocniej ze sobą, niż pogodne, prześlicznie zadumane drzewa? Jakaż jest tam, w tem stadzie ludzkiem, magnetyzu-

jąca trucizna, że z niem płakać, cierpieć, radować się, szaleć muszę, przeciwstawiając mu się naprzekór, ale zawsze wśród tłumu, wśród ludzi! Przecież tu spokój i piękność, przecież tu bajka, rozkoszna, miła bajka lat dziecinnych snuć się poczyna brzegiem rzeki i płynie z nią, ciągnąc przezroczą mgiełkę wieczorną, szlakiem śpieszącej dokądś wody, co ma szafir drogich kamieni, a dalej różowość jutrzenki, a dalej jeszcze metaliczny blask polerowanych blach złotych. A poprzez te barwy, mieniące się, jak roztopione klejnoty, łaszczy się drobna fala prądu, błyskając skrami w zachodu smugach i wijąc się i kręcąc, jakby bajeczny smok sunął wodą, gubiąc w pośpiechu łuski złote, wydające kryształowe kląskania, obijając się o białe kamienie — zawalidrogi.

Oto miękka godzina przedwieczornych czarów. Snują się wonne smołą dymy, niewiadomo skąd, skrzypi na kurzej nóżce tamta oto chatka, pod urwiskiem, przy jagodowym wąwozie, gdzie może siostra za malin dzban zabiła siostrę, a może Pani lilje sadzi nad grobem Fana.

Tą ścieżyną w głąb puszczy śpieszy strapiony Tomcio Paluch, zabłąkany w boru, może dopiero co na to wzgórze wspiął się królewicz Janak na wieszczym siwku złotogrzywku, jadący za kłębkiem wskazidróżkiem, który go niegodziwie wodzi a wodzi bez końca po niezmiernym świecie i nie da spocząć myśli i nic właściwie nie wskazuje, a gmatwa drogi!... Tamtą miedzą, miękką murawą, śpieszy oto śliczna Pielędrusia, gubiąc złoty pantofelek, albo sierota, płacząca perłowemi łzami, szuka chatki Królewicza, zaklętego w niedźwiedzia, i opiekunki, „szczarki“ poczciwej. A cały świat śni rozkosznie, jak Królewna zaklęta w szklanej trumnie.

Wszystkie te śliczne, złote i szafirowe, purpurowe i brylantowe postacie, lekkie, wesołe i rozwiewne, snują się, tańczą, śpiewając cicho... Widma dziecinnych lat, pełnych nieprawdopodobieństw, niepojętych zdarzeń, niezrozumiałych istot!... ich cudowne przygody, ich czyny niebywałe nigdy, ich dalekie kraje, wyspy szmaragdowe i zaczarowane ogrody były bliskie i niepojęte, kochane i niedościgłe. Świadomość mówiła, że was niema i nigdy nie było, wyobraźnia przywoływała was co chwila. I tak już dawno uciekłyście, kędyś, kochane, tak daw-

no przestałyście wmawiać, że cały świat to jedna, cudowna przygoda. od tak dawna nie daje wam do mnie przystępu nieprzyjaciółka nasza odwieczna: rzeczywistość, wstrętna kuma troska, babsko grube odziane i ordynarne, a trop w trop chodzące za mną, jak zabiegliwa ochmistrzyni, z którą nie mam nic wspólnego.

I. najmilsi moi, gdybyż ona była choć trochę od was mądrzejszą! Gdyby mi mogła wytłomaczyć to wszystko, co wy rozwiązywałyście tak łatwo, cudownem zaklęciem dobrej lub złej wróżki. Ale nie, nic, nic mi nie mówi, ona nie zna nawet żadnej prawdy, to babsko niepoczciwe i głupie! Truje tylko życie, obracając w swych ciężkich łapach moją głowę i serce, aż z nich mózg i krew tryska z bólu i nie tłomaczy mi nic, nic!

Pokazuje ordynarnym paluchem każdą rzecz po swojemu i pęka ze śmiechu, gdy widzi, że nawet łzy, zalewające mi oczy nie zdołają już ubrać mi świata w tęczowe blaski dawnych marzeń i nadziei.

Rzeczywistości! Straszydło wstręne, plugawiące mi świat cały, oddaj mi wszystkie bajki, w które wierzyłam, wszystkie nieprawdopodobieństwa, które kochałam, wszystkie lalki, które mi się złamały w dłoniach i wszystkie obrazki, któreś podarła... Dlaczegożeś zostawiła tylko jedynie w dziuplach koszlawych, rozchełstanych wierzb, siedzące, rozchichotane djablęta, żywione zmurszałem próchnem, co łudzi światłem skarbów w noce bezksiężycowe... Oddaj mi tamto, oddaj mi tamte bajki, tamte piosenki, niech dźwięczą, niech kołyszą...

Ostry, wysoki, przenikliwy dolatuje z drugiego brzegu śpiew dziewczęcy: „Nie wrócisz, nie wrócisz, kochanie ty moje"...

Ala, Ala, dlaczego Ciebie niema przy mnie! Nie zostawiaj mnie samej... wśród ludzi".

XIV. KIEDYŚ..

„Luli, luli, zapomnij, Aniu, o złem i dobrem, o wszystkich strasznych rzeczach, które ci się zdarzyły, zapomnij o życiu, maleńka, odwróć się od tego brzydkiego świata wymyślonego przez ludzi... śnij... czy pam ętasz?...

Szara i słodka godzino bajki, zejdź ukojnie na znużone myślą, senne czoło mojej dziewczynki. Oto cały hałaśny świat

rzeczywistości znika gdzieś, a kochane, znajome dziwadła zastępują drogę. Wszystko tonie w miękkiej siwej mgle, srebrne włóczą się smugi i cień prószy swą cichą kołysankę.

...Lekkiemi ruchy, na małym stoliczku,: Colombina przyrządza dla zuchwałego Arlekina, brząkającego od niechcenia na gitarze, włoską m e z z a-n o c e. Sentymentalnie zakochany Pierrot pilnuje przy świetle księżyca, czy nie wraca srogi opiekun Pantaleon, a objąwszy za szyję czarnego pudla, któremu z jęzora wylatują płomyki, płacze lunatyczny bohater. Z za klombu różowych oleandrów (pachnie migdałami) dolatuje dźwięk serenady: muzycy są w maskach aksamitnych, czarnych, płaszcze mają rozwiewne, grają na viola di gamba, viola d'amore, cytarach, na zapomnianych muzealnych instrumentach. Ale grają wciąż to samo.... Po sadzawkach rechocą zaklęte w żabki królewne, szukające złotej strzały królewiczów. Po domu słychać ciężki, drobny galop: to gnomy wyłażą z za pieców i szpar, biegną, wywijając szerokiemi piętami, kichając długiemi nosami, na wesele krasnoludków pod muchomorem w lesie olchowym. Straszą okropnie wszystkie myszy, które idą się skarżyć „mysiorowi", siedzącemu na tronie z holenderskiego sera. W chatce na kurzej nóżce siadł na przypiecku czarny, jak smoła kot o zielonych oczach i patrzy, jak Baba-Jaga, jędza palona i topiona, a zawsze żywa, gotuje w kociołku czar ziele lub zwija kłębki wskazidróżki dla królewiczów zakochanych i wiecznie błądzących.

Gdzieś, tam, na skraju lasu wilk spotyka dziewczynkę o czerwonym kapturku i umizga się do niej, aż go kiedyś chytry lis przymrozi za ogon do przerębli.

Wiatr powiewa, kręcąc sznurem wisielca, rycerz pyta przy odgłosie głucho dudniących kopyt widmowego rumaka:... Panno, czy nie strach?! A nad grobem Pana zakwitają lilje, jaśniejąc bielą śmiertelną koszuli, Marysia — rybka mokre włosy odgarnia, by dać piersi dzieciątku nad brzegiem jeziora, a Tomcio Paluch, szczękając ze strachem ząbkami szuka wśród krzaków poziomek, drogi znaczonej białemi kamykami.

W morzu płaczą z falą zakochane w ludzkiem dziecku syreny, król wężów, trzymając w zębach karbunkuł najstraszliwszych zaklęć i czarów, budzi się pod paprocią, której

kwiatu szukać będzie w noc św. Jana chciwy kmiotek, aż go kusy djablik w błocie utopi, gdzie stękać będzie, strasząc podróżnych. Chyba, że się osinowym kołkiem obroni, da złej przecherze zjeść mydła i ołowiu zamiast sera i orzechów i ożeni się z księżniczką rumianą, jak jabłuszko. Wszystko to ożywia się i rusza w światy. W światy jasnych, małych główek, wchodzi na wieki przez szeroko rozwarte, trochę przestraszone, ale rozkosznie ciekawe oczy. Wsuwa się szeptem niezapomnianym w malutkie różowe uszka. W drugim pokoju siedzą starsi i mówią nudne, wcale nieprawdziwe, szare rzeczy. Czasami w cieniu, na kominku, wśród palących się smolnych drzazg, pali z bata jadący w konkury skrzat domowy, lub zapiszczy w mokrej szczapie dusza potępiona.... Niech Bóg odpuści.... zaraz wytoczy się złota, mała karoca zaprzężona w szóstkę białych szczurów, dywan samolot z szelestem rozsnuje się pod drobne, zdeptane bieganiem buciczki.... zaraz ... zaraz.... już nam rży wieszczy siwek złotogrzywek, gotów pędzić wyżej lasów szumiących, niżej chmur pływających. Zaraz.... pojedziemy w cudny kraj, daleki i niebywały... jak szczęście..... jak szczęście......

. . . .

Na chwilę, krótką, jak szczęście, jak szczęście... uwierz dziewczynko najmilsza, we wszystkie najświętsze kłamstwa dziejów ludzkości. Bo widzisz, tak Cię dziś kocham serdecznie i rzewnie, że chciałbym uwielbić nieskończenie swoje fałszywe pojęcia stawania się rzeczy według szlachetnego szablonu dobrej księżniczki.

I mówiąc Ci: uwierz! właściwie błagam tem słowem o wiarę dla siebie, o wiarę w lube kłamstwa piękna, o złudę, dla odpoczynku. Nie chcę dziś nic wiedzieć o tem, jak w imię Chrystusa mordują, w imię Prawdy — kłamią, w imię Miłości — nienawidzą, w imię Wiary — bluźnią. Czy możesz mi dać tę złudę i to oszołomienie? Czy możesz, kobieto, nic o niczem nie wiedzieć i być mi dalekim, czystym światem pogodnej bajki? Jeśli tego nie umiesz... poco chcesz mię kochać? Stracone zachody!... Prawdy mam wyżej uszu w świecie, umówionej, fałszywej prawdy? daj mi, o to błagam, prawdziwą bajkę i naucz w nią wierzyć. Czy nie widzisz, jak bardzo zmęczony

jestem rzeczywistością? Twierdzisz, Ania, że sam zdzieram wszystkie zasłony z wszystkich bóstw i świątyń i dziwię się potem i żalę, że nawet Twoje nagie ciało daje tylko rozkosz krótkotrwałą i nic nieznaczącą.

Tak jest istotnie, ale ja cierpię, kobieto! Cierpię bez rozkosznej algi łez i pokory szukania w sobie winy, bez ukoj nego leku marzeń. Nie mogę sobie nic wmówić ani dać wmówić. Daj mi więc, Ania, zaklęcie, którembym mógł choć trochę, dla odpoczynku, odgrodzić się od rzeczywistości, by się nią nie brzydzić".

(Tak pisał, czy myślał Alo, jednocześnie z tem, co pisała i myślała Ania pewnej jesieni).

XV. JUŻ TYLKO ŁZY...

Znużeni wzajemną walką i ścieraniem się swych nieustępliwych indywidualności, szli oboje w dalekie, zapomniane od tłumów zaułki rodzinnego miasta, czerpiąc z jego czarownych widoków ukojenie zmysłów. Gdy wchodzili na wysokie wzgórza, bliskie błękitów, złote od piasków i żałobą świerków przyjaźnie otoczone, oddawali hołd ujrzanemu pięknu pocałunkami, w których nie było nic z goryczy, jaką daje namiętność. Snując się wśród liljową mgłą otulonych kotlin, w rude zagłębienia, pełne szeleszczących liści, kierując kroki, mieli wzniosłe i szczęśliwe poczucie samotności i jakby zapowiedź porozumienia. Ale gdy zejść musieli tam, kędy nieprzeparcie ciągnęło ich gmeranie się robactwa ludzkiego i jego ślady ohydne, kiedy szukali w zaułkach i wśród starych gmachów śladów zniszczenia po przejściu stada, roznoszącego kopytami świątynie, gdy czcigodne ruiny sączyły w ich przeczulone dusze swój lament i jęk i żałobę, a wkoło zaczynało się kłębić mrowisko nieodwołalnie skazanych na śmierć i nic myślących o tem b l i ź n i c h... wtedy... melancholja ich stawała się głęboka i męcząca.

Pragnęli życia i brzydzili się niem.

Pociągała ich jego chimeryczna wielkość, którą tworzyli na wzór chimery własnej duszy, przy zbliżeniu—małość, zamiast tytanicznych bojów, brud i gmeranie się, zamiast wzlotów, odpędzały obrzydzeniem i pogardą. Wracali wtedy na

długo w olbrzymi świat własnych tylko przeżyć i uczuć i tem niszczyli i stwarzali całe międzyplanetarne systemy pojęć, niemających nic z rzeczywistością wspólnego.

Wtedy brali z otoczenia, z natury i sztuki, to tylko, co mogło im być towarzystwem wymownem i cichem. Lubili, gdy byli zmęczeni sobą, pewien ogród nad rzeką, mieniącą się złotem i szafirem w słońcu, do której zsuwały się z miękkim szelestem żółte osypiska żwirów, uwieńczonych krzewami ogrodów i domkami, uczepionemi niedbale u wyrw.

Na żwir ścieżek padały powoli złote, miękkie liście i pacały krągłe kasztany, wyrzucając z pluszowego wnętrza, lśniące bronzowe i rude owoce. Murawa więdła, błękitnawa od rannych szronów, okryta opalowemi perłami rosy; czerwony mur zamykał obręb zaklęty kościołów i klasztoru, kędy drzemał wieczny zapach kadzidła i tajemnica ufnej wiary. Wydeptane tysiącami stóp, a może nawet kolan, wiodły kamienne ścieżki ku świątyni, cicho rozszemranej modłami przedwieczornych nieszporów. W ciemniejącej głębi, przez otwarte drzwi lśniły gwiazdy świec. jaskrawe, w tajemniczej grocie, przepojonej westchnieniami ku zaświatom. Ledwie widzialne, odczuwalne jeno przez zapach mdły i słodko upajający, snuły się smugi kadzidła, stulając rude mury i strzeliste wieże, swem tęsknem, sięgającem granatowego nieba, tchnieniem. Jakieś okienka, o grubej średniowiecznej kracie, zasnutej pajęczyną, w murze ciężkim i groźnym, patrzyły na młodość Ani złemi oczami złej dewotki, pragnącej ujrzeć i zamknąć boski twór pięknego ciała podatnego grzechom rozkoszy. Czasami dzwoniły drobne dzwonki, jasnemi, złotemi głosikami, wieszcząc wkoło dobrą nowinę przebaczenia ludziom pogodnym i dobrej woli; jęk pieśni błagał, szmer pacierzy dziękował. W cichem skupieniu przedwieczornej godziny, ludzie prości wiedli tu swą zwykłą, ufną z Bogiem rozmowę. Wkoło kościelnych murów, poprzez olbrzymie lipy i kasztany ogrodu tęskny i niespokojny szukał czegoś wiatr między gałęziami, wsuwał się wszędzie niewidzialny, dotykając rozbijaną falą powietrza policzków siedzących na ławce kochanków, zagarniając ich w przezrocze strugi swego pędu; po drodze zdzierał i miotał na głowy i ramiona szmaty złotych szat z drzew, tańcował z niemi w kółko w alejach i zmykał, by za chwilę powrócić

znowu natrętnie, zapowiadając się trwożnym szelestem drzew przerażonych i westchnieniem szafirowego mroku.

Oparci skroń o skroń, otuleni jednym płaszczem, siedzieli milcząc i bez słów, wiodąc ze sobą jedną z tych rozmów — walk, niewidzialnemi prądami psychicznemi przenikających mózgi i serca dwojga ludzi, szukających siebie w dopełnieniu przez drugie.

Ani się zdawało, że jakieś nadludzkiej mocy zaklęcie wypija z niej wszystko: siły, życie, myśl, że wszystko to przepływa w żyły i mózg Ala, karmiąc go i trując zarazem. Pragnęła, by coś się objawiło, silniejszego od tego, by coś o nią walczyło, sama bowiem była bezsilna i bez woli.

Alo pragnął gorąco, by mu się Ania niewyczerpaną objawiała wskazówką w szukaniu, by talizmanem swego ciała zaklinała jego duszę przed tęsknotą śmierci i niezrozumieniem życia. Ania z rozpaczą myślała, że dziś dała już wszystko, ponieważ wreszcie dała miłość bez zastrzeżeń Nie czuła w sobie w tej wieczornej godzinie jesieni nic, prócz znużenia, i poczucie nicości zawładnęło nią bezsiłą melancholji, niszcząc na chwilę czar uczucia. Głęboki żal do rabusia tych skarbów, których ślady odnajdywała w sobie, jak w pustych puzderkach, odciski wyrzuconych klejnotów, nienawiść prawie zatrzęsła nią strachem przed uczuciem zemsty, które ją nawiedziło jak szatan, zaczajony w kruchcie świątyni. Wnet żal i tkliwość, i hojność kobiecego serca, i wstyd przed odruchem skępstwa, i dumna rozrzutność przygarnęły ją bliżej do piersi kochanka, i smutne usta zmęczone pocałunkami, poddała znów pieszczocie, tej jednej, niewyczerpanej. Ale jałowość jej i jednostajność przygniotły ją znów poczuciem zniechęcenia i smutku tak ciężkiego, że ciche, powolne, duże płynąć zaczęły bezgłośne jej łzy. Myślała, że może nietylko dla niej, ale i dla Ala fatalne jest, że już w niej nic nie znajdzie prócz miłości, że teraz właśnie, gdy pokarmem ich miłości stanie się tylko miłość sama, a nie walka o nią, o pierwszeństwo, o odrębność i niezawisłość duszy, że teraz nic się już dziać nie będzie, nic wstrząsać dreszczem przeczuć lub tęsknoty, że zaspokojenie najwyższych pragnień jest wyrokiem śmierci dla nich, i w niezmiernym bezwładzie chęci w popłochu rozumu i obmierzłej,

jak zimne gleje nadmorskie, bezwoli położyła głowę na piersi przyjaciela i wroga. Uczyniła to tak, jakby się kładła na płytę własnego grobu. A wtem, usłyszała niespokojne, nierówne bicie tego serca, pełnego jej istoty i usłyszała w sobie tak wyraźnie, jakby to mówiły jego ukochane usta, jakby myśli Ala przypływały w nią, przenikały jej mózg i świadomość.

„I cóż teraz, Aniu, moja ty Aniu jedyna? Miałem cię, tak, miałem tylekroć w objęciach. Upływały długie, ciężkie, senne godziny pieszczot, kiedy byłaś w mych ładnych dłoniach narzędziem mojej rozkoszy, kiedy zatracałem w tobie doskonale zdawało mi się ślad człowieczeństwa. Byłaś echem moich słów, akordem moich westchnień, każdy twój odruch, wyraz twarzy, spojrzenie, jest mojem, jak wyrzeźbionego z miękkiej gliny posągu. Czuję nadludzką rozkosz twórcy. Oceniałem bowiem doskonale i na wysoką miarę wartość materjału, którym rozporządzam; im dokładniej niszczyłem w tobie d u s z ę, Ania, tem czułem się szczęśliwszy. Dumny byłem. Tak, dumny i radosny, jakby musiały być bogi, gdyby istniały. Bo oto... stawiła się przedemną istota ludzka stworzona, żyjąca według pewnych psychicznych prawideł, mająca swój świat, całokształt myśli i uczuć. Ja zaś, Pan i Władca, potężniejszy od wszystkiego, co się na wytworzenie tej kobiety złożyło, ja, posiadacz tej chimery, zniszczyłem w niej wszystko, by wszystko stworzyć wedle woli własnej. Ileż zadałem sobie trudu! Ileż walk cichych i podstępnych wiedliśmy o każdej chwili, mój cudny, mądry, złotowłosy przeciwniku! A przecie ja zwyciężyłem! Bo ja jestem brutalną siłą życiodajną, a ty tylko życia lotnym eterem, mgławicą, czekającą rozkazu: „stań się“! Przenikaj więc mnie i daj mej potędze ów ogień podniecający w szalonym biegu do celu. Nie wiem, do jakiego celu, j e s z c z e nie wiem, ani poco to robię. Wiem tylko, że wciąż do czegoś namiętnie dążę, czegoś szukam. Przeszkodą, jaką mi się zdawałaś być przez chwilę, podnieciłem się jeno do walki, i utarczki z tobą odbyte były doskonałym ćwiczeniem do poważniejszych bojów. Teraz jesteś mi, jak zdobyta krwią i mordem, cicha, pusta i zamarła, ale bardzo wonna i cienista oaza. Nic mi w niej nie przeszkodzi odpoczywać po trudach dróg da-

lekich, bowiem zadławiłem wszystkie świergotliwe ptaszęta twego ogrodu.

W czystem źródle obmyjesz me stopy wiecznego wędrowca, złotemi włosami otrzesz ich rany, a różane twe usta (innych nie chcę kwiatów) zetrą śmiertelny pot z czoła, które beznadziejnie tłukło o niejedne zamknięte mary. Łzy twoje najcenniejszy skarb miłości kobiecej, twe święte, bezcenne łzy, (bo ty nie masz zwyczaju płakać i tego też musiałem cię nauczyć kobieto)! Twe łzy nakarmią mię i napoją, abym z nowemi siłami, z nowym zamiarem, szedł znów... w dal od ciebie.

Teraz mów mi znów owe dawne, czarowne słowa tajemniczego zaklęcia, które siląc się odgadnąć, obejmowałem cały świat myślą.

Mów mi te słowa dawne, jędrne i podstępne, słowa-ciosy, słowa, jak szczęk oręża, zadającego niebezpieczne rany i nie dające zapominać o nieustannej walce. która jest życiem. Teraz mów znowu słowa przeciwstawiające mojej potędze, twoją nieufność, mojej dumie—twoje drwiny, mojej pewności wszystkiego—twoje odwieczne nieposłuszeństwo. Mów mi tak, żebym walczył, żebym nie usypiał. Żebym przy tobie silniej, niż gdziebądź czuł nieopisaną radość wartości mego j a, przez niepospolitą, godną mnie i jedynie równą mnie, buntowniczą siłę twej nieujarzmionej duszy.

Mów więc... wszak dałem ci nową moc, nowe życie.. milczysz, Ania milczysz... i ciężkie, ach jakże ciężkie łzy, lśniące tęczowo, napełniają twe świetliste oczy, wiernie i niewolniczo wpatrzone we mnie i toczą się po martwej twarzy.

Uwielbienie i miłość zawładnęły tobą?

Nie jesteś już niczem prócz mną i moją......

Szalony, głupi szaleniec! Zniszczyłem arcydzieło, wyczerpałem czarowną studnię życia..!!"

Ciemniało, coraz gęstszy otaczał ich mrok, miękki, jak puchy z czarnych gołębi, nad głowami szumiał coraz to wicher, jakby otulał ich całych szeleszczącą szatą liści. Daleko gdzieś dolatywał gwar miasta, tęskny, wołający w dale, przeciął noc gwizd lokomotywy, koło murów kościoła snuły się bezgłośne cienie. Wrażenie rzeczywistości zacierało się

wraz z barwami i kształtami otaczającego świata, zostawiając, tych dwojga na pastwę jeno myśli, odrętwiających ich swem zaklęciem, jakby się powoli zamieniali w kamień grobowca. Ani słodko było płakać i czuć pocałunki ust gorących, zbierających łzy na ich mokrych rzęsach, oddawała się niemocy bez dumy, wyciekało powoli życie, jakby spijane ze łzami, płynącemi od serca.

Ciemności zatarły wszelkie kształty i cielesność rzeczy, mieli wrażenie, że w czerni nocy istnieją tylko ich oczy, całujące się wilgotnemi rzęsami i gorące, spojone w jedno tchnienienie usta.

XVI. NAJSTRASZNIEJSZE I NAJPIĘKNIEJSZE.

Płynęli rzeką. Ukochanie wód i zapatrzenie się w ich głębie, ich ruch i czystość były im niejednokrotnie ulgą moralną, tak żywą i dotykalną, jakby fizyczna czynność zanurzenia spiekłą krwią zalanych serc w nurcie srebrno-błękitnym miała istotnie miejsce. Ania wiedziała, że gdy o przedwieczornej godzinie, cicho łka fala rodzinnej rzeki, wystarczyłoby trochę jeszcze wysiłku woli i ducha, a mowa jej odwieczna, stałaby się zrozumiałą zupełnie. Oczy śmiertelne odczytałyby rany tajemnicze, kreślone jej przezroczym prądem.. i doznaliby ulgi. Ale byli dziećmi ziemi i nie mogli zrozumieć wielu rzeczy niebieskich... Ania jednak szła ku wodzie, jak ku dobremu bóstwu, które nie zawodzi, ciągnęła tam Ala w upalne dni, gdy nienawidził słońca i wesołej rozlewności wód błękitnych, by chociaż ich widokiem i wiecznie żywem wołaniem nurtu w dal został pociągnięty i oderwany od świata cieniów, w który się pogrążał aż do znicestwienia woli, zostawiając w duszy cmentarzysko uczuć. Ów dzień letni, leniwie w słońcu rozciągający od świtu do zmroku swe senne, błękitno - złote, zakurzone godziny, kołysał uczucia dwojga kochanków w ciężką, osłupiałą bezmyślność. Chcieli tak. Chcieli z całych sił nic nie czuć, prócz swych płonących warg, prócz ciał gorączką zmysłów rozpalonych, prócz rozlewnej, znicestwiającej przytomność rozkoszy pieszczot, wyczerpanych do dna. Bez oporu myśli oddawali się namiętności przenikania się wzajemnie fizycznie, do ostatniej, zda się, kropli krwi, do szpiku kości,

dała z rozpaczą w stężałą bólem twarz Ala, widząc w niej straszliwe stygmaty obumierania chęci do życia. Zastanawiała się: czy ku nieznanemu wiedzie go własny spaczony instynkt, igrający z najniebezpieczniejszą formą myśli, czy też jest to kres, do którego go przywiodło chwilowe wyczerpanie uczuć i mylne poczucie, że już nic więcej nie dadzą. Czuła z przerażeniem, że cokolwiek jest, ona na razie nie ma siły z tem walczyć. Że w Ala jest jakaś wroga moc, nieprzyjazna i okrutna, silniejsza od niej, od niego, od ich miłości. I nienawidziła Ala za to, że daje do siebie przystęp szatanowi nicości, że się nurza w pastkę zaświatowych dumań, że odtrąca życie. On zaś czuł do niej jakby pogardę za żywiołowość radosną, wykluczającą, jak mu się zdawało, możność oczyszczenia pierwiastków duchowych z ziemskich pyłów.

Gdy wysiedli na brzeg, nieznany jeszcze, szli po murawie tak miękkiej, tak intensywnie zielonej, że mimowoli westchnienie ulgi uleciało obojgu z piersi, zanurzonej w fali, wonnej żywicą, zielem i rosą. Powietrze lasu objęło ich, otuliło i muskać zaczęło kojąco. Ania otworzyła ramiona i miała już wyrazić radość, że oto odpływa znużenie i ukochane, żywe organizmy otaczającej natury dają im nowe siły, gdy, spojrzawszy na twarz Ala, nie wymówiła ani słowa. On nie chciał przyjąć nic z darów nieba i ziemi. Chciał być sam na sam ze śmiertelną myślą swoją, i Ania, zamiast, jak zwykle, podniecić się tem do walki z Demonem, ogarnęła myślą swoje siły, zawahała się i przycichła w ruchach, chodzie, spojrzeniu, stała się mała i nic nie znacząca. Nie czuła się dziś mocna. Musiała czekać. Ale nerwy jej naprężały się boleśnie i coraz wzbierała w sobie odwagę, moc i chęć i coraz opadały skrzydła, gasło światło, zamierał śpiew duszy. Jakiś ciężar niezmierny przygniatał ją tak, jakby wonne powietrze leśne stało się płynnym ołowiem i zalewało ją martwicą szarych, zimnych, gniotących fal. Gąszcze drzew i krzewów, rozchylając się wkoło jasnej, piaszczystej drogi ukazały im teraz obraz młyna opuszczonego nad małym stawem. Zielone mchy i pleśń rozpanoszyły się nad martwem domostwem, ziejącem czarnemi przepaściami okien. Krople wody, duże, ciężkie, srebrne ciurkały po

przez długie trawy, we wstęgi i skry lśniące. tworząc tkaninę, melodyjnym głosem śpiewającą coś przechodniom i ptakom leśnym. Jakieś ogromne zioła, dziewanny i osty, rosły wkoło i tamowały przejście.

— „Patrz, dom zaczarowany, niczyj... wejdźmy" — krzyknęła Ania.

— „Nie, idźmy dalej.... wejść... to i zostać"... — odrzekł Alo powoli.

Ania zadrżała, jakby się znalazła sama w tym opuszczonym, śmiertelnie ponurym młynie. Minęli, okrążając go, staw ciemny, czernią wód bezdennych zamykający może tajemnicę, może bajkę? Powierzchnia jego lśniła się w mroku wieczoru, jak polerowany agat, mieniąc się złotem, zielenią i bronzem. Wnet otworzyło się w gąszczu leśnych malin i leszczyn drugie oko stawu mniejszego, złączonego z tamtym wąską strugą. Ten zawładnięty został trawskiem i liljami wodnemi. Przezroczystość wód plamiły liszaje zieleni i żółtawych pleśni, wody zmącone były drobniutkiemi gałązkami wyrastającej z dna łąki wodnej. Senny i martwy zdawał się ten staw, mimo żywą zieleń, pokrywającą go. Ale wegetacja owa nie zdawała się wytworzona pracą wody i roślinności, lecz jakąś narzuconą przemocą, zdławiającą i pochłaniającą przezrocze wody siecią, ciężarem, jakimś pożeraczem stawu.

— „Nie idźmy dalej" — rzekła Ania — „jestem niezwykle zmęczona... nie mogę" — szepnęła zaledwie dosłyszalnie. Rada była, że nie dosłyszał i nie zauważył skargi! Chociaż także zabolało ją to, że jej wyczerpanie nie zwraca jego uwagi. Szedł dalej, naprzód, machinalnie odgarniając przed nią gałęzie, coraz gęstsze. Ślizgali się po rozmokłych glejach. Ania czuła, że wyczerpanie jej dochodzi kresu. że jeszcze trochę tego milczenia w tym ciemniejącym, cichym lesie, nad brzegami tych stawów zamarłych, a położy się na ziemię zsunie w głąb wody i przestanie móc istnieć. Wtem ujrzeli staw trzeci i mimowoli Ania chwyciła Ala wpół z okrzykiem obrzydzenia i trwogi. Z pośpód aromatu wody i lasu wyłaniał się ku nim mdły, wstrętny zapach zgniłej pleśni, rozkładu czegoś, trującego powietrze. Gęste, żółtawo-szare gleje podeszły tu pod powierzchnię wody, która spłynęła, ciekając

od ohydnej kleistości, wpełzającej w nią i rozłażącej się od brzega do brzega. Brudem lepkiej cieczy zalane rośliny dławiły się, konając zniekształcone, ociężałe gliną, oblepiającą ich łodygi. Ohydny obraz trupa w rozkładzie nasuwał się mimowoli myśli i zdawało się przerzucał wolę i tęsknotę ku jaśniejszej, otwartej przestrzeni, ku słońcu, gwiazdom, życiu, byle dalej, dalej uciec stąd.

Ania szarpnęła Alem. Ale on ciężko osunął się na pień sosny, i, biorąc głowę w ręcę, rzekł cicho spokojnie i bezdźwięcznie:

— „Nie mogę już dłużej żyć, Ania".

I tyle było głębokiego przekonania w jego beznadziejnie smutnym głosie, tyle jakiegoś krańcowego wyczerpania w postaci. że Ania, osuwając się bezwolnym ruchem na kolana, złożyła, mu głowę prawie u stóp i poczuła to zupełne, to ostateczne znużenie, wyniszczające wszelką wrażliwość. Ogarnęła nią obojętność na wszystko, nienawiść do najmniejszego ruchu, do myśli, do poruszenia palcem.—„Niech mnie już nie będzie" — pomyślała i ona.. A wtedy, nie ona, nie jej wola, nie jej świadomość, ale jakiś cudowny nakaz wewnętrzny dźwignął ją, słaniającą się na nogach, i przez jej usta rzucił ostatnim wysiłkiem rozkaz-prośbę.

— „Chodźmy stąd, Alu... Wszystko, co chcesz, ale stąd odejdźmy... zmęczona jestem... musisz mnie prowadzić".

Jej słabość kobieca, jej bezwład i oddanie się na łaskę i niełaskę, jej wreszcie! poddańcza prośba i zgoda dźwignęła go odruchem instynktu męskiego. Wstał ciężko, ujął ją wpół, wpół wsparty, wpół prowadząc. Powoli, jak ranni, czy kalecy, wracali... do czego? Ania z dreszczem trwogi i obrzydzenia odsuwała od siebie obraz gnijącego stawu.

XVII. LAMPA GASŁA.

Mleczny, mętny dźwigał się świt ponad zalaną gęstemi mgłami ziemią. Miasto zamarło we śnie ciężkim, znużeń i rozczarowań lekarstwie niespokojnem. Ania wielkim wysiłkiem woli wstała i przeszła przez pokój; otwarła drzwi od balkonu wysoko ponad ogrody, ponad domy wiszącym. Mdła wilgoć mgieł oblepiła ją i przeniknęła, niby dotknięcie spotniałych rąk chorego. Wstrząsnął nią głęboki dreszcz obrzydzenia;

wstręt do swej skorupy ciała, do tumanu w głowie, do sprzętów i myśli ogarniał nią, jak trąd, od którego ani ucieczki, ani ratunku. Wiedziała też, że ucieczki od zmory własnej duszy niema. Wpatrywała się w znany widok, zaledwie w kłębiących się chmurach błękitno-opalowych mgieł rozróżniając kształty i charakter domów i wzgórz lesistych na widnokręgu. Słońce nie mogło przedrzeć tych warstw dławiących. Czuć było, że walczy, zalewając się purpurą krwi, ale kłębowiska miękkiej i lepkiej mgły zasnuwały wszystką wspaniałość jutrzenki. Od dołu lekko, nieśmiało dolatywał ożywczy zapach bzu, dobrego krzewu, rzeźwiącego niewinnym aromatem. Ania pochyliła się ku niemu, niewidzialnemu wśród białawych tumanów przyjacielowi i odczuła w przebłysku ulgi, jak cudne kiście liljowe piją ciężką wilgoć kroplami i w tem powietrzu, dławiącem ciepłą parą, rozkwitają prześlicznie i bujnie. Jakiś oddech poruszył zdala mleczne puchy i przyniósł od lasów na wzgórzach zapach żywicy.

Ania bała się zwrócić oczy w stronę pokoju. Ale musiała to zrobić. Cofnęła się więc, drżąca i osłabła cała od przenikliwej wilgoci parnego ranka nocy letniej, czując bezwład ciała i myśli, jakby wszystkie te mętne opary weszły w nią i zajęły miejsce krwi i mózgu. Na szerokiej otomanie wśród rozburzonej pościeli Alo spał snem podobnym do śmierci, bez oddechu, bez śladu życia na twarzy. Cisza grobu i polatywanie śmierci były w tym pokoju miłosnym. Czuć było, jak niewidzialna jakaś potworność wpełzła tu w cieniach nocy, czai się teraz w kątach i czyha na chwilę odpowiednią do spełnienia swego ohydnego zadania. Daremnie prostoduszne, poczciwe odgradzały ją od ludzi sprzęty, pospolite służki dnia codziennego, niechcące naruszenia prostolinijnego spokoju swych poufałych, wygodnych pozycyj, krągłych i miękkich kształtów, proponujących o każdej chwili bezmyślny, miły wypoczynek — drzemkę. Złe czaiło się za niemi i wiało zatrutym oddechem śmierci na ludzi, którzy wpatrywali się długo, długo w noc ciemną na zabiegi i manewry straszliwej pokusy... Tej nocy igrali ze śmiercią mówili jej: „nie jak ty zechcesz, a e jak my zechcemy". I czuli potworną potęgę swych słów i postanowień. Oboje doszli do kresu, poza któ-

rym nie widzieli nic i dlatego śpieszyć się... nie czuli potrzeb. Potrzaskali i poniszczyli w sobie i wkoło siebie wszystko, co było harmonją i radością życia, szukając czegoś poza jego granicami, a nie mając sił na ugięcie życia i jego praw pod swe stopy. Cóż więc mogli jeszcze uczynić? Tylko iść szukać jeszcze dalej.

Alo ocknął się i bez ruchu otworzywszy zapadłe oczy, spoglądał na Anię. Była blada i liljowa w batystach, zaledwie otulających jej drżące i gorące ciało. Lampa z zielonawym abażurem, lampa ich prac wieczornych i stróż nocnych pieszczot, z wysiłkiem dopalała ostatnie krople cuchnącej nafty. Mrugała na nich zmrużonemi błyski wystraszonego knota. który wydawał się komicznie skaczącym gnomem. przytłumianym ciężką łapą olbrzyma. Błyski owe ukazywały im ich twarze trupio-zielone, przerażały i uspakajały niejako mówiąc: „To tylko to, to tylko tak".

Malutkie. żółte, brzydkie światełko targało się w pospolitem szkiełku, buchało płomieniem bezsilnym. nikło i znów ukazywało resztki blasku, zostawiając za chwilę pokój w sinem świetle widmowej ponurości. Cisza dusiła za serce, jak ołowiany zalew, niszczący wszystko.

— „Lampa gaśnie" — rzekł Alo głuchym. bezdźwięcznym głosem, skazującym ich oboje. Ale Ania podniosła głowę i nagle rzuciła się ku roztwartym drzwiom balkonu; nieopisany. potężny, radosny poryw szarpnął nią, dźwignął i odrodził. Otwarła ramiona i z okrzykiem tryumfu padła na kolana, śmiała się.

— „Lampa gaśnie... cha! cha! Ale patrz patrz w s c h o d z i s ł o ń c e, s ł o ń c e, s ł o ń c e"!

Blask, złoto i purpura oblały ją całą i Alo ze zdumieniem spoglądał na nową. jakby zjawę jej postaci.

XVIII. N E V E R L A N D.

Pamiętasz „złotą aleję", wiodącą do Neverlandu? Do kraju cichego szczęścia, o którem odrazu wiedzieliśmy, że nie może być naszym udziałem? Te liście złote i purpurowe, które nam drzewa rzucały od szafirowego stropu nieba do stóp, grzęznących w złotym piasku, otaczały nas szeleszczą-

cym wirem, słodkim dostojnym ruchem usypiając... roztapiając w drzemaniu miodnem sen szafirowo-złoty... purpurowy także sen jesiennego ukojenia. Przychodzi do mnie Alo w godzinach samotności, bożyszcze tajemne, które ma twoje oczy i porywa mię w jakąś podróż szaloną po krainie Neverlandu, nie istniejącej już, byłej, po krajobrazach i miejscach, kędy przeszliśmy lekkiemi stopy, lub szarpali się łkając z bólu. Uwierzyć nie mogę, że tam, gdzieś, wszystko to istnieje? Tem dziwniejsze mi się wydaje, że istnieje to w mojej małej głowie, że się tam mieści, że mogę, jak z zaklętej kasetki wydobywać obrazy i snuć do nieskończoności przędzę wspomnień. Tem mniej wierzyć mogę, że tego wszystkiego kiedyś nie będzie... i gdy o tem słyszę, czuję, że światy moje nie mogą umrzeć wraz ze mną. Czy dowiemy się jednak, jaki się z myśli naszych stworzył Neverland?..... Jakżeby to się mogło stać, jeśli nawet przelotne obrazy ziemi zostają wciąż daleko za nami, jak obrazy ślicznego kino i za chwilę nie mam dowodów na to, że istnieją, prócz pamięci, która ukazuje obrazy i opowiada..... o Neverlandzie.

Złota Alejo! W żadnem miejscu na ziemi nie lśniły takim cennym kruszcem płaty kasztanowych i klonowych liści, nigdzie takim deszczem, tak garściami nie sypały białe brzozy swych skarbów, rwąc je z wiotkich, rozplatanych pasm warkoczy. Nigdzie też nie lśnił tak piasek, miękki, jak dywan wschodni, pod nogi rozesłany, wskazujący drogę.... drogę do do Neverlandu. Wiedzieliśmy doskonale, że rozpięta nad nami szafirowa kopuła zamyka nam świat w obręb, który, jeśli ośmielimy się przekroczyć, rozbić kryształ kloszu, zamykającego nas w to złoto purpurę-szafir, wtedy runiemy w czerń przepaści, albowiem drogi do Neverlandu prowadzą przez miejsca śmiertelnie niebezpieczne i powrotu niema.

Cóż mogło nam dać moc sprobowania czaru kuszącej złotej drogi? Tylko zakochanie się w niej i uświadomienie, że wiedzie do krainy „Nigdy". A wtedy igrać mogliśmy z życiem i śmiercią. Mogliśmy zanurzyć się w fale owego jeziora, zielenią chryzoprazu bawiące nasze nagie ciała.

Mogliśmy szukać, błądzić i znajdywać i tracić znów wątek, sens i logikę życia i znów potem być tak mądrzy, jak

mędrcy i tak głupi, jak dzieci. Doprawdy, Ala, mogliśmy wiele, wiele rzeczy.

— „Aniu, czy pamiętasz góry i lasy Neverlanda? Bo tam było wszystko w owej zaklętej i przeklętej krainie „Nigdy". Owe puszcze ciche i zielone, jak Ocean, miljonowem życiem zapełnione, kędy ginęliśmy dla świata, podobni bogom leśnym? I owe cudne, przeczystem tchnieniem oddychające góry, kędy weszliśmy z pobożnem wzruszeniem pielgrzymów, dochodzących do miejsc świętych. Gdy trzymając się niewinnie za ręce, weszliśmy w jasną dolinę, liljową od wiosennych Krokusów, gdy jędrny, mroźny powiał ku nam śnieg szczytów swe tchnienie ożywcze, gdy nad kryształową wodą, huczącą tryumfalnie, powitały nas malutkie dwie dziewczynki, jak dwa jaskry polne złotowłose, jak różyczki różowe, o oczach niby cztery szafirowe gencjanny... wtedy, Ania, patrząc na potęgę złomów skalnych i na piękność kwiatów, uczułem szczęście, o jakiem nie miałem pojęcia. Bo Ty byłaś wszystkiem i we wszystkiem. W kwieciu łąki i w oczach dziecka, i w szmerze wody, i w potędze skał... i sami wpośród cudów przyrody, tylko nią pochłonięci, wznosiliśmy się na czyste szczyty szczęścia, od którego się nie wraca w niziny".

XIX. D A L E K O...

... Gdy z nicości głębokich, puszystych cieniów snu ocknęła się Ania, nie była to jeszcze jasna, jaskrawa jawa. Było to tylko samopoczucie istnienia. Nagle, nie wiedząc jak się to stało, poczuła że j e s t. Ale miękkie cienie drzemania trzymały ją jeszcze utuloną w słodkich, ukojnych objęciach. Sączyła się skądś świadomość szczęścia, błogiego z niem sam na sam, bez zewnętrznych wrażeń niszczących. Powoli, ostrożnie, później coraz szybciej, jakby spełniając konieczny obowiązek, ze świadomością, że wnet ważniejsze się staną sprawy, pamięć przesuwać zaczęła przed odpoczywającemi w czerni oczami Ani, widoki dni, godzin ubiegłych. Tylko widoki, bez znaczenia, jakie mieć mogły i miały, bez ich duszy, bez wywoływania niemi jakichbądź uczuć. Wprost, jakby się koniecznie rozkręcać musiał jakiś mechanizm.

Przeleciały liczne beczące i ryczące automobile, rwetes i tertes dorożek, niemilknący, zziajany wrzask olbrzymiego miasta, jego tętno, jakby pulsujące pod asfaltem i brukiem dygotanie krwi, czy elektrycznego prądu. Tłoczenie, tarmoszenie się i przewalanie tłumu, nieustanne migawkowe poruszanie się setek rąk, nóg, twarzy, drgania fal powietrznych od głosów, zlewających się w jakieś szczekanie, czy gęganie zwierzęce, a będące wykładnikiem wszyskich uczuć, jakie mrowisko ludzkie ze siebie wylewa. Potem miarowy, kołyszący łoskot przyczajonej potęgi rwącego przed siebie pociągu, rytmiczna pieśń tryumfu ludzkiego, przecinana wrzaskliwym wybuchem stacji... jakieś twarze, profile, kolorowe i bezduszne fotografje całego szeregu momentów. Nagle musnął twarz, szyję i ramiona Ani miękki powiew. Był to ciepły i wonny oddech wzgórz, lasów i pól. Nim otwarła oczy, zaśmiała się radośnie na myśl, że czeka ją Dzień - Kochanek słoneczny i w nowem miejscu budzi nieznanym jeszcze pocałunkiem.

Spojrzała przed siebie i klęknąwszy na łóżku, witała miłosnem wyciągnięciem dłoni widok radosny. Przez drzwi uchylone na balkon małego, o drewnianych ścianach pokoiku, jaśniał obrazek ujęty w ramy białej firanki. Wszystko było na nim świeże i wonne, jakby nietylko dłonie, ale nawet oczy niczyje na nim nie spoczęły, jakby właśnie został stworzony w czasie snu Ani, dla niej jedynie. Ciemny, świerkowy las piął się po wzgórzu; zwilżony rosą oddychał żywicą i leciutko poruszał czubami drzew, jakby upojonych własną wonią, uciekał, zda się od jasnozielonej łąki, która podesłała mu kobierzec traw pod stopy. Poprzez małe, kapryśne kępy łóz, gonił strumyczek, istna rozkosz i zabawka krajobrazu; pośpieszał, gwarząc cicho, drobnym szczebiotem opowiadając coś ziołom i kwiatom, kłócąc się z kamykami, które mu przeszkadzały biec dalej i dalej z nadzwyczaj pilną wieścią. Odrazu Ania zrozumiała, że jest wieść taka i że iść będzie tą kryształową drogą tak długo, aż jej woda bieżąca z serca tej ziemi wieść tę wyjawi.

Na samym skraju ujrzanego w ramach drzwi obrazka, zajrzały w oczy białawo - czerwonawo - szare rumowiska zamku. Las puszystemi kiściami, jak mógł, osłaniał te zwaliska, nie chciał się niemi smucić wesoły, płochy gaj, rosnący ku słońcu.

Martwe ciężkie kamienie wpierały oparte łby w ziemię i sczepione pazurami mchów, trwały...

Ania nie chciała z niemi rozmawiać: „Jesteście tem, co było, — wysłała ku nim ostrzeżenie, — a przecie teraz mam pokochać, co jest i dowiedzieć się, co będzie“. Szybko, szybko w falach wonnego powietrza i promieni słońca ubrała się zdaleka przybyła dziewczynka.

Nowe koło niej było wszystko, nie obce jednak, tylko nieznane, nie przepojone jej życiem. Czuła jednak bez wątpień, że weszła w światek, który stanie się jej własnością i zajmie w jej sercu odrębne, niezmącone niczem innem miejsce.

Czekała chwilę na Tego, który miał jej wytłumaczyć swą obecnością tryumfalne poczucie zwycięstwa posiadania wszystkiego, na czem jej głębokie spoczęło spojrzenie. Silne objęły ją ramiona. Oczy, w których były światy całe, przez nią stwarzane i inne jeszcze nieodkryte, oczy pokorne i groźne spojrzały na nią i uśmiechnęły się lśnieniem radosnym na widok jej twarzy uroczej. Usta, dające rozkosz, wzięły spragnione wargi Ani w posiadanie. Ogarnął ją zapach, ciepło i miękki bezwład miłości.

— „Jakże rano wstał mój miły... mój miły, miły“... powtarzała sennie w objęciach kochanka.

— „I Ty, Aniu, oboje chcemy przecie iść w te światy i wszystko w nich zobaczyć“.

— „Jaka cisza, jaka rozkoszna pustka! Żadnych oczu, uszu, nóg, migających na górskich ścieżkach! Jesteśmy jedyni ludzie, których wzgórza i doliny obejmą w ramiona“.

— „Na chwilę, Aniu, wszak jesteśmy ci, co nigdzie zostać nie mogą, możemy tylko spojrzeć i iść dalej“.

— „Nie mów o tem; niech myślę, że zawsze tu będziemy, wiedząc zarazem, że tak okrutny los nas nie spotka“ — mówiła z figlarną ironją.

— „O kobieto, szczęście zawdzięczać złudzeniu, będąc zarazem świadomość nietrwałości wszystkiego, jako jedyną przyczynę kochania tego, co jest?...

— „Tak, bo tylko to, co przemija, o luby, trzeba kochać najmocniej.“

— „Słowo zawsze jest za ciężkie na kobiece ramiona."

— „I umysł — chciałeś powiedzieć!... Za ciężkie jest dla każdego, kto ujrzy jego rozległość. Kto szczerze zechce je wymówić, nie wymówi wcale... Słowo zawsze — wieczność nie jest dla ludzi stworzone... przecież przechodzimy coraz nowe przeobrażenia i za żadnem z nich nie powinniśmy ośmielić się mówić: „zawsze tąk będzie".

— „A jednak myślę, że kiedyś powiesz to słowo..."

— „Nie wierzyłabym w jego trwałość! Byłaby to może tylko forma uniesienia."

— „Być może, ale życzę ci, byś przeżyła taki właśnie moment uniesienia, byś musiała powiedzieć „zawsze" i byś chciała w owej chwili móc dotrzymać obietnicy."

— „Alboż nie kocha się stokroć silniej i lepiej to, co jest wyrwane z życia, jak kwiat z łąki, cieszące wonią i blaskiem na jeden dzień złoty, jedyny, odosobniony od pstrokacizny reszty pospolitych dni? To co jest niepewne, czasami od święta?"

— „O Ania... ja nie umiem się cieszyć chwilą! Zbyt to wątłe i kruche, jak pył tęczowych skrzydeł motylich. Zaledwie ujmę w dłonie moje szczęście, moje kochanie... już mam tylko trochę złotego blasku na palcach... zresztą ja nie tylko o miłości myślałem. A raczej nie tylko o miłości dwojga ludzi do siebie."

— „Tak... ja też myślę, że są rzeczy silniejsze, ale się ich boję..."

— „Kobieto!"

— „Jakaż pogarda jest w twoim głosie! A przecie to właśnie kochasz we mnie najbardziej; właściwie każdy z was kocha „kobietę", niewiastę poddaną sobie i to, czem w niej pogardza dobrotliwie... Jeśli dojrzy coś innego, coś, co chce z nim walczyć, zrównać się z jego „człowieczeństwem", ogarnia każdego z was głucha niechęć... nienawiść."

— „Każdego z was! Jakież to jest pełne doświadczenia, ten frazes..."

— „Mężczyzno!" zaśmiała się Ania w odwecie.

— „Ach tak, zazdrość samcza. No więc nie, zapomnijmy o wszystkiem, o ludziach i życiu, idźmy w sen, w marzenie..."

— „Idźmy tworzyć nowe w sobie pierwiastki naszego życia starajmy się nie filozofować. nie grzebać wzajemnie w duszach, nie rozplątywać cienkich, cieniutkich drgawek i irytacyjek naszych zmysłów i zbyt czujnego intelektu. Rzućmy się na tak zwane łono natury. Słuchajmy co nam ona tu powie".

Szli w bujne, soczyste gąszcze, tak, jakby się rzucali w objęcia fal wonnej zieleni. Niosły ich, czy stopy? Chyba mieli u nich skrzydła. Z pewnością nawet białe trzewiczki Ani trzepotały nad murawą w locie półboskiej istoty. Czyżby bowiem mogła iść tak szybko i daleko, tak sunąć strzeliście ponad zioła i kępy, tak zlatywać ze wzgórz na łeb na szyję, śmiejąc się jak Dryjada na cały gaj? Mijali laski sosnowe suche, ciepłe, o podłożu ze ślizkiego, szarego igliwia, wśród którego się puszyły wezgłowia szmaragdowego mchu, zachowującego wilgoć rosy i zapach grzybów, cienkie szypułki drzew powtarzały się tysiącznie, nużąc oko, a miękkie gałązki muskały i kłóły po twarzach, wydając w słońcu zapach żywicy, jędrniejszy od woni kwiatów.

— „Chodźmy, chodźmy stąd," — wołała Ania, — „tu nie jest tak, jakbym chciała, sosnowy las latem jest upokorzony i martwy, zima to jego tryumf, teraz on jest jak zasuszony na pamiątkę—tam, tam, w gąszcze!" Wpadli w gaje leszczyny i grabów. Cudna zieloność, tak jasna, że prawie złotawa, otoczyła ich, jak woda żywiąca z bajki, ta woda, co budzi z martwych. Każdy tu liść śpiewał i tańczył w słońcu i wietrze. Raz po razu wybuchały wśród jednostajnego poszycia lasu jakieś kępy prześliczne, jak rozumem ludzkim i ręką artysty ułożony obrazek, który się chciało zapamiętać i unieść. Ciemne pnie dębów otulały się krzewami leszczyny i grabiny, a poniżej zioła, wyrosłe na miękkiej, żyznej próchnicy, strzelały łodygami bajecznej wysokości i haftały swe kwietne kielichy w rytm taneczny całego dnia letniego. Paprocie wyrastały z fontanny, drgając koronką liści, rozwierając je w tajemniczy kielich zieleni, kryjący niewidzialny kwiat, dający szczęście i dar widzenia skarbów.

— „Nie potrzebuję kwiatu Nocy Święto-Jańskiej" — mówił wzgardliwie Alo na propozycję Ani—„zerwałem już skarb".

— „I widzisz wszystko, co zakryte? I masz go? — śmiała się wróżka łąk i gajów — i jesteś pewien, że ci jutro o świcie nie zostanie w dłoni garść suchych liści, zamiast klejnotów?.. “

— „Jesteś zdolna wszystko zniszczyć, co mam i co otrzymałem“, rzekł smutnie.

— „A ja, widzisz, lepiej posiadam swoje uczucia. Nie mógłbyś, gdybyś nawet chciał, nic zniszczyć z tego szczęścia, które mam od Ciebie. Te godziny byłyby zawsze szczęściem, choćby się wszystko kiedyś zmieniło“.

— „Wiem, że kochasz naszą miłość więcej niż mnie, Ania, to dlatego“.

Chciała zaprzeczyć, ale wstrzymała ją chęć wciągnięcia go w krąg tych samych wrażeń. Myślała, że lepiejby było, piękniej i pogodniej by on też pokochał nadewszystko historję ich miłości i nawet się nią bawił i nawet się nią zaciekawiał, a wtedy mniej cierpiał, bo mniej się od niej uzależniał.

— „Bo nasza miłość jest piękniejsza od każdego z nas, wyrwaliśmy bowiem na jej utworzenie wszystko, co mamy w sobie najpiękniejszego i najsilniejszego, więc to jest aż obce, aż inne, jak każde z nas. Jakby trzecia istota, wiążąca nas, niewidzialna, nieuchwytna, dzierżąca moc nad nami, a którą jednak możemy krzywdzić do rozpaczy i patrzeć z lękiem, jak łka i płacze, a czasami radujemy ją do szału, a zawsze, chociaż my dajemy jej to, lub inne oblicze, jast zawsze silniejsza od nas“.

— „Aniu, męczy mnie niewymownie i upokarza to, że nic nie jest dla mnie silniejsze od mej miłości dla Ciebie“.

— „Upokarza?... No, tak... ale... jestem... Twój cały świat?“ spytała łaszące, czerwone usta podając mu jak słodki owoc w darze.

— „Tak... tak... nic więcej, prócz Ciebie niema na świecie“—szepnął dusząc ją w objęciach, z rozpaczą prawie.

— „No, więc to źle, bo mężczyzna powinien mieć tysiące spraw i amb'cji, a kobietę mieć za dodatek“ — wygłosiła niespodzianie po mentorsku.

— „Nikt nie jest mocniej o tem przekonany odemnie — rzekł śmiejąc się trochę gorzko — ale daleko odbiegłem od teorji“.

— „I dlatego mię czasami nienawidzisz“?

Po krótkim wahaniu rzekł trochę szorstko i bardzo smutnie, tuląc nagle głowę w jej ramię, jak dziecko.

— „Tak, moje kochanie, dlatego Cię nienawidzę, że Cię tak strasznie kocham“. Zaległo smutne milczenie, cień męczarni, właściwej duszom ludzkim, przeleciał przez gaj roześmiany i odebrał na chwilę znaczenie całej jego słonecznej pogodzie. Stała się ona piękność nietylko obojętna, ale martwa, bezsilna; tuż przenikliwe ćwierkanie leśnego ptaszka zawołało na nich, jak głos żywy i czujący, ostrzeżenie pokorne nieskończenie małej, dalekiej przyjaźni wołającej.

— „O mój wrogu i mój przyjacielu“—mówiła Ania sennie, przeciągając sylaby i otwierając szeroko oczy, jak dziecko — co samo sobie opowiada bajkę — czy dlatego, że jestem puszysty kot, co chodzi swojemi dzikiemi drogami i wcale o to nie dba gdzie”.

— „Tak, chciałbym, niewiasto, byś chodziła memi ścieżkami“.

„Zmuś mię do tego“ — prosiła z obłudną pokorą, a ze skrytem pragnieniem poddania się silniejszemu (nie bez walki).

— „Ach, musiałbym temu życie poświęcić... więc?“...

— „Czy warto? To chcesz powiedzieć? Nie, nie warto, ja wiem, że Ty musisz iść swoją męską drogą, a ja jestem tylko tym ożywczym prądem, co budzi wolę z martwych“.

— „Jesteś katastrofą“ — szepnął zmartwiały — „bez twej obecności jestem martwem ciałem, bez tchu, bez iskry życia“.

— „Zobaczymy, jaki się nowy bóg narodzi z tego chaosu, pozwólmy sobie swobodnie czuć wszystko, co nami wstrząsa i ulegajmy tym wzruszeniom; idźmy kierunkiem, jaki nam wskażą. Być nie może, by z gwałtownych, głębokich wstrząśnień duszy nie objawiły się nam nowe prawdy i nie powstały w nas nowe siły“.

— „Albo nie spaliło się wszystko na popiół i nie zostawiło trupa“.....

— „Bezwartościowe by były wartości, ulegające takiemu zniszczeniu“.

— „Idźmy, idźmy dalej, mówmy o tem, że niebo jest błękitne, i że pachną kwiaty, że usta twoje kochanie moje.....

że jesteś moja... że coś takiego zwykłego, prostego jest w całem otoczeniu, niech odpocznie stroskany mózg i straszliwie zmęczone nerwy“....

Ania pomknęła naprzód ze śmiechem, ani na chwilę nie wątpiła, że Alo proponuje jej i sobie niemożliwą do spełnienia rzecz, ale udała, że owszem, może być ukojną, łatwą i bezmyślną dekoracią krajobrazu.

Starali się zżyć z nim, zaciekawiać się biegiem stramyka, nie pytając, co znaczy ten jego zachęcający pośpiech i tajemnicze, leniwe w dzień, a wieczorem jakby zdyszane poszeptywanie. Wpatrywali się w cień chł dnych grot, odpychając widma, powstające ze stalaktytowych ścian, z pytaniem w tęsknych oczach: czy już czas?

Ciężki lot nietoperzy, zbudzonych drgającem światełkiem pochodni, wprowadzał ich znów w świat bajki i snów, a gdy, wychodząc z lodowatych objęć skał, wydzierali się znów, jak buntownicy, na jasną drgającą zieleń lasu, ciepłą i złotą od słońca, oczy ich spotykały się w tryumfalnym błysku i ramiona obejmowały w radości zwycięstwa nad mrokiem, radości zdobycia przestrzeni.

XX. GRANICA...

Któregoś dnia wstępowali po szerokiej, pnącej się stromo drodze w górę, białe kamienie leżały w czerni miękkiej próchnicy i lśniły od tańczących po nich jasności, prześlizgających się przez gąszcz liści.

Gładkie pnie grabów i chropowate, połuszczone pnie świerków, zaledwie widoczne były poprzez miękkie, wciąż ruchome krzaki i gałęzie. Gęsty, falujący szum świerków był jakby tłem, po którem przebiegały drobne, urywane szelesty drzew liściastych. Zdaleka, skądś szły te pogwary, nabierały mocy i rozpędu, lecąc hen, hen przez pola, zmiatały za sobą Bóg wie jakie głosy, westchnienia, tęsknoty i prośby, i rzucały je w las, miotały niemi o skały, sprawiały zamęt i jakby niespokojne pytania, pod których ciężarem kładły się czuby drzew ze zmęczonym lamentem. Nastawała chwila ciszy, jakby oczekiwania na odpowiedź i czuć było, że ona nie przyszła jeszcze, że nikt i nic odpowiedzieć nie może, ani ukoić,

ani wyjawić tego, od czego zdawało się wszystko zawisło. I znów po chwili, jakby już wieść się rozeszła daleko, że jeszcze nie... że jeszcze nic niema... leciały z całego kraju te same pytania i ponownie, niezmordowanie biły w góry i puszczę.

Kruche złomy skał, któremi przerosła była ziemia, osypywały się z pod nóg idących, wielkie, kryte korzenie, wydobyte na wierzch trudną do wrośnięcia kamienistą glebą, wiły się umęczone szukaniem drogi wśród złomów wapienia. Oczy wędrowców witały z zachwytem ich trud niezmierny i zawziętą siłę, z jaką wszczepione mimo wszystko, tam gdzie im tajemniczy los wyrosnąć kazał, rwały kamienie, krusząc swym żywym organizmem martwotę twardego podłoża. Zdawały się świadome, że ta ich u dołu męka w cieniu i walka w poniewierce daje u góry wspaniały obraz świata: drzew prześlicznych, niebosiężnych, śpiewnych w wichry i radosnych w słońcu. Droga była coraz bardziej stroma, odwróciwszy wzrok widziało się, jakby leciała w dół na łeb na szyję, ku górze zaś nęciła jakąś koniecznie spełnić się mającą obietnicą. Pocóżby bowiem szła tak uporczywie i nęcąco?

Ania była bez tchu, zdawało się jej, że złe zaklęcie, wstrzymające pęd na szklaną górę, pęta jej nogi i wlewa w nie ciężar niepojęty, że korzenie i głazy mackami obejmują jej stopy i walczą o każdy krok naprzód. Serce rozrastało się w piersiach do rozmiarów dzwonu i biło głuchem tętnem, dławiącem w gardle i posyłało fale gorącej krwi ku skroniom. Chwilami, czerń nocy zasłaniała jej wszystko przed oczami. Na chwilę jednak nie wstrzymała równych, silnych kroków, wydało się jej niepodobieństwem, katastrofą moralną stanąć i powiedzieć towarzyszowi: „Jestem zmęczona". Ania nie umiała, mimo najlepszych chęci, odczuwać bezpośrednio natury, dla niej natura była także dziełem ducha i jako taka wiecznym symbolem o dowolnem znaczeniu.

W pewnej chwili rozwarta ściana lasu ukazała im senne dale błękitne, jakby ostrzeżenie, jak bardzo daleko są już od nizin. Stanęła na chwilę i bez słowa wyciągnęła rękę ku światłu. Obróciła się na Ala i ujrzała, że był, jak ona, bez tchu, że, jak ona, zaciskał zęby, ale szedł bez radości. Gniew ją ogarnął.

— „Obiecuję ci nowe cuda“ — szepnęła zdyszana — „tam będzie najpiękniej, najjaśniej, najmilej na świecie, będzie to nasz zdobyty widok... czemu się nie cieszysz?“

— „A potem?“ odparł Alo martwo, zabijająco.

Cofnęła się, jak od śmiertelnego pocisku wszystka radość, rozbujała pycha życia, zniknęła w niej, jak zmieciona tem zimnem słowem.

— „Co potem?!“ zadrżała... „na szczęście! nie wiem“! krzyknęła prawie odkrywając mu tę prawdę radosną—„potem, będzie znów t e r a z ! O ukochane bożyszcze! Dnia dzisiejszy, strzeż mię, jasny! od swego ciemnego, tajemniczego brata: J u t r a! Spraw, by nam był łaskawy. Widzę go, jak idzie ku mnie, niosąc w fałdach mglistego płaszcza puszkę Pandory, którą muszę, nie, którą c h c ę otworzyć, i... jakiebądź dary zawiera, biorę je w ręce... Z wszystkiego można budować swój los“— modliła się zapatrzona.

— „Oszałamiasz się słowami, jak dziecko bajką... budować los z męki i cierpienia? To jad co zatruwa, zżera siły i zostawia martwym..“

— „Każde silne uczucie może być potęgą radość i cierpienie zarówno, należy je tylko zewnątrz siebie wyrzucić, jak kohortę, idącą w bój,.. i walczyć nią o cel sprawy“.

Przygarnął ją do siebie namiętnym, gwałtownym, szorstkim ruchem. Trzymał ją, jak uwięzioną żelazną koniecznością, płochliwą duszyczkę, i patrząc z góry w jej oczy rozkochane patrząc oczami zmiennej barwy głębokich jezior, rzekł tuż przy jej ustach, głosem, idącym z głębin beznadziejnej rozpaczy:

— „Czy ty pamiętasz, że się rozstajemy? Ania, moje kochanie! Jak ty możesz o tem nie myśleć?“

Okrzyk bólu wyrwał się z ust Ani na ustach Ala, wydarła się z jego objęć, pogarda, nienawiść przemknęły jej przez twarz

— „Ach nie, nie, tego nie trzeba było mówić! Poco? Poco?! Witać się i żegnać będziemy nieraz długo, długo, ale teraz!? Tak bardzo grzeszyć, obrażając dzień tak cudny, niszczyć we mnie...“

— „Niefrasobliwą pogodę motyla...“

Idąc naprzód, odwróciła głowę i spojrzała na niego przez ramię litośnie i z żalem.

— „Ej ty"—szepnęła—„ej ty..."

Nagle, na zawrocie otwarła się przed nimi ciemna i wonna gąszcz świerków i wydarli się z niej w blask, ciepło i wiatr, polatający na odkrytem wzgórzu. Jak okiem sięgnąć błękitniały dale zamglone, podkreślone linją czarno-szafirowych borów, zbiegających w dół i w górę, za kaprysem wzgórz i dolin. Gdzieś niewidzialnie klekotał młyn plotkarz i rzeczka gadała gnała, rozbryzgując się ze szmerem po odłamkach skał. Ptak jakiś piaukał malutkim, zemdlonym głosem sylaby niezrozumiałe.

— „Co za radość!" zaśmiała się Ania—„patrz, Alu, woła o wesela, śmieje się to wzgórze..." wyciągając ręce do kwitnących krzewów, biegła ku nim. Żarnowiec płomieniem swoich złotych kwiatów olśniewał całą górską polanę. Na ciepłym wietrze chwiały się i tańczyły w takt tajemniczej melodji wiotkie gałęzie, okryte błyszcząco żółtym kwieciem i sprawiały w przestrzeni, na tle ciemnej zieleni boru, wrażenie jakichś wabiących skarbów Sezamu, tuż dostępnych, może złudnych, może nic nie wartych bez słowa zaklęcia, a tylko widzianych, jak pokusa.

Ani się zdawało, że zna słowa zaklęcia.

— „Zdaje mi, się że ten blask, te fontanny złota to są moje myśli, mój tryumf, moje... jakże ja to powiem?... że to słoneczne ziele właśnie dlatego tu teraz kwitnie, że myślałam o czemś do niego odpowiedniem — to jest kwiat moich myśli"...

— „Co za egotyzm, Aniu, na wszystko patrzeć od siebie, tłumaczyć swemi oczami, jakby świat był twoją własnością, a ty jego centrum".

— „Ależ bo tak jest, naturalnie", rzekła z politowaniem nad jego niewiedzą

— „Ach tak? Więc to dlatego, ile razy cię widzę: w pokoju, czy galerji obrazów, w górach, czy nad morzem, wszystko staje mi się inne, wytłumaczone przez Ciebie, podniesione, czy już nie wiem... zmienione do znaczenia symbolu, przefiltrowane przez twoją duszę".

— „Przecież tylko dlatego to istnieje"... zatoczyła ręką wkoło — „wydobyła to z nicości siła ducha, którego jestem

cząstką, ja więc brałam udział w tem stwarzaniu, byłam w tem, jestem jednak osobno, bo ja myślę o wszystkiem stworzonem i wiem, że ono jest ze mnie".

— „Ależ siły natury zwyciężają Cię na każdym kroku, to Ty jesteś ich własnością i słabszą od nich".

— „Nie, nie, pozornie tylko. ulega przecie to tylko, co jest wspólne ze stworzeniem, ta przejściowa śmiertelna forma, przybrana dla współżycia z kwiatem. wichrem, wodą, drzewem".

— „Jesteś więc swedenborgjańskim aniołem, zstąpionym na ziemię? Myślałem to czasami, ale myślałem i o szatańskie kobiecem".

— „Widzisz, zbyt kocham Ziemię, bym tęskniła do Nieba, które zresztą jest tylko stopniem uduchowienia. zaś anioły szwedzkiego iluminata były pełnej północnej tęsknoty za słońcem i jasnością. Ja mam ją w sobie, koło siebie i mam nadewszystko poczucie jego znaczenia. Wiem, jaką jest dusza wszechświata! Wiem, co znaczy, że jest pogoda, czuję rozpacz długotrwałej ulewy, rozumiem potęgę burzy, moja dusza jest w tem wszystkiem... działa... Dla niej jednej tak szumią drzewa, dla mnie tylko tak kwitną kwiaty i taką mają postać ludzie"...

— „Dlaczego, dlaczego tak mówisz!? Wszystko więc dla Ciebie jest wyobraźnią? Żyj na ziemi, Aniu, dla ziemi"

— „Ależ... owszem, tylko że przecie to jest prawdą pewną, że wszystko, co widzę i czuję, jest tylko moje, nikt prócz mnie nigdy nie dojrzał tych barw i nie słyszał tych melodyj, nie doznawał tych wzruszeń, które mi dał Stwórca posiadać w tym świecie. I dlatego on jest moją własnością, ten świat, — niezmierzony jak dusza moja.. nikt go nie widział i nie zobaczy takim, jak ja widzę".

— „I dlatego ja jestem Twój... jedynie?"

— „I dlatego.. — na zawsze, cokolwiekbądź zajdzie, kto duszę ludzką posiadł, ten ją na wieki mieć będzie, sądzę, że to właśnie jest ten związek, który nie będzie rozwiązany w niebie".

— „Na wieki razem... Aniu marzenie"...

— „Nie wiem czy razem — wspólnie, dlatego widzisz i teraz, gdy jesteśmy daleko, to jednak jesteśmy ze sobą".

— „Daleko do tego, by mi to wystarczyło“... warknął ironicznie.

— „O mężczyzno! O pół - ludzki tworze, niewydobyty z gliny ziemskiej“.

— „O kobieto, o fantazjo ulotna, czem ja cię skuję dłużej, jak na chwilę uścisku“.

— „Możesz, jeżeli potrafisz być silniejszym, zawsze silniejszym“, rzekła wyzywająco.

— „Bardzo dużo potrzebaby na to poświęcić czasu“, odparł pogardliwie, a widząc grymas mówiącej—„któż zmusza?“ dodał chłodno.—„Pomyśl realnie: wszak nie każdy ma czas rozwijać tak swą świadomość duchową, musi niejeden walczyć o byt, jak zwierzęta“.

— „Zanadto widząc w tem cel, a nie środek“.

— „Może, ale tej walki jest pełen świat i to jest też objaw potęgi woli, dla której masz tę, daruj, cześć samiczki. Kultura nauczyła Cię szukać potęgi w świecie ducha, ale w stosunku do „osobnika innej płci“, to jest, chère Madame, to samo“.

— „Jakże Ty obniżasz wszystko“, szepnęła niechętnie. „Doprawdy, kobieta z mężczyzną powinna tylko mówić o głupstwach lub o miłości, inaczej.... „dopyta się“...

— „Cóż chcesz, to też walka o byt w świecie duchowym“.

— „No tak... może... ale, dobrze! Zwyciężając, ja, kobieta, służę niechcący, acz świadomie mężczyźnie, bo kogóż porywam w te obłędne światy ulgi od plugastwa ziemi“.

— „Wiedz o tem, że mężczyzna tylko poprzez mgłę rozkoszy zmysłowej daje się wieść w te, jak nazywasz, obłędne światy, które się Tobie wydają wielce uduchowioną krainą. Jedyną potęgą mężczyzny jest świat realny, — on tylko w tej dziedzinie jest naprawdę silny“.

— „A poeci i inne filozofy?“.

— „To są istoty, nie mające cech płciowych w psychice swojej, — zresztą największe fantazje poetów opierają się zawsze na jakiejś realnej podstawie, kobiety zaś przenoszą życie realne w jakieś ramy nieprawdopodobieństw“.

— „I Dulskie“?

— „To także jest niewidzenie rzeczy, jakiemi są, tylko wyolbrzymianie mikrokosmu domowego“...

— „Nie lubisz nas“, rzekła Ania przymilnie, patrząc z uśmiechem przekomarzającej zalotności w rozchmurzające się pod tem spojrzeniem oczy Ala.

— „Nie“—odrzekł stanowczo, patrząc na nią z zachwytem, od którego rozpromieniała mu się twarz wewnętrznym płomieniem. Było to zapamiętanie, runięcie w przepaść miłości i rozkoszy, zniecestwiające człowieka i bunt przeciw temu, i bezwład woli, i wreszcie poddanie się, zgoda na złudne chwile szczęścia, choćby wnet ustać miały i zapomnienie o wszystkiem prócz o tem, że na świecie jest Ania i... ona jest całym światem.

— „I dlatego tak mnie kochasz?“, spytała Ania niepewnym głosem, wzruszona jego spojrzeniem i zmianą twarzy.

— „Dlatego. Nie wiem dlaczego... cóż to może mnie obchodzić i Ciebie dlaczego... Przyczyny... skutki...“— mówił oderwanie — „co to wszystko!.. Trwa się oto w bytowaniu miłosnem, aż...“

Ania szybko zamknęła mu usta dłonią i wnet podała wonną czarę warg, i złotą mgłę włosów, i jedwabną biel policzków, i oczy jasne, i znów usta purpurowe, by pogrążyć w rozkosz niepamięci i przeciągnąć chwile zapamiętałego szczęścia.

Stali wsród złotokwiecistych krzewów żarnowca, rozświetlających swemi słonecznemi kwiatami przestrzeń, zalaną słońcem. Jasno-błękitne, nieskończenie przezrocze wisiało nad nimi niebo, przesiąknięte światłością, zdawało się, dalsze i bardziej tajemnicze, niż zwykle; czuć w niem było jakby zaczajone gwiazdy i oślepły od blasku księżyc i miljony drgających, twórczych atomów życia, czy myśli, zapładniających umysły na cudowne urodziny spraw niezwykłych. — Wielkie osypiska białych głazów rozszarpywały wonną od ziół murawę i rozrzucały odłamy kamieni w strugi coraz drobniejszych okruchów. Śliczne, jedyne temu miejscu właściwe, kwitły tam zioła i kwiaty, których nazwy Ania nie znała, ale witała z radosnem upojeniem ich kształty przedziwnie skomplikowane i barwy rozkosznie jasne i wonie subtelne. Rozciągnęła się, jak długa, zalewając murawę fałdami swej śnieżno-białej sukni krepowej,

co się marszczyła, jak morskie piany, — zrzuciła biały, trzepotliwy, jak motyl, kapelusz z dwiema falbankami. otaczający jej twarz drobną, bladawą, przezroczą. Przepaściste oczy błękitne. centkowane tak gęsto czarnem i srebrem, że się zdawały jakiemiś cennemi kamieniami, zwróciła szeroko otwarte w twarz Ala i przepoiła go przenikliwem pytaniem. On zapatrzył się w nią bez pamięci, bez innej myśli; zatonął jak w bezdni przestrzeni, w świadomości jej istnienia oto tu. przy nim. Zbladł ze szczęścia, które go napełniło drżeniem przerażenia. chmurne oczy zasnuła mgła, jakby cieniów śmierci. Prawie przestał wiedzieć. że to o Anię chodzi, że ona jest przyczyną tego, co czuł. Zdawał sobie sprawę, że nieznana rozkosz niesie go gdzieś, skąd się nie chce wracać, że niezmierną ulgę sprawia podświadome uczucie znicestwienia się wszelkich spraw, związanych z życiem realnem; nie miał już wrażenia, że jest człowiekiem i przemknęło mu przez mdlejącą myśl, że jeśli tak dusze ulatują w nieskończoność, to chciałby już umrzeć.

Głęboko zatęsknił do śmierci.

Jakieś hukania, daleki, lekki turkot nadleciały z dolin. Alo niechcący usłyszał te głosy ludzkie. Ocknął się. Szarpnęła nim świadomość rzeczywistości. Odrzucił ją od siebie ze wstrętem. Chciał jeszcze za wszelką cenę szybować gdzieś znów w nieskończoność szczęścia i sennego zapomnienia. Rozpoczął krótką, gwałtowną walkę w sobie, by wyszarpać z kłębowiska nadlatujących myśli tamto wrażenie czyste, jednolite i takie śmiertelnie spokojne. Nie wracało. Nie wiedział, gdzie je odnaleźć, jak przyzwać; zwrócił się do Ani z męką na twarzy, z prośbą błagalną o pomoc. I ogarnęła go rozpacz na myśl, że mimo wszystko. ona włada tylko dziedziną zmysłów i może mu dać tylko... pocałunki. A właśnie w tej chwili pragnął czegoś nieśmiertelnego, nadludzkiego, wysnutego ze siebie. jakiegoś przejścia poza wrota rzeczywistości, wpłynięcia w ciche etery nieskończoności, i poczuł, że Ania jest tylko strażniczką tych cudów. Otwiera bramy i zostaje... pokorna... nieświadoma... bezsilna... Zrozumiał nagle, że był tam... gdzieś... sam...

I ogarnęła go głucha niechęć i za to, że Ania go pęta i za to, że wędrowała też może w jakieś światy bez niego, to umęczyło go w tej chwili najgorzej.

— „Dlaczego patrzysz tak na mnie?“ — spytał cicho.

— „Tak daleko jakoś odeszliśmy od siebie“. szepnęła sennie. Zadrżał, nie po raz pierwszy spotykały się ich myśli. — A jednak bez Ciebie nie byłabym aż tam“...

— „Widzisz, Twój związek nierozwiązany w niebie“...

— „Każde z nas unosi w sobie to drugie. . to jest razem... nie, każdy jest sam“, szepnęła z trwogą — „tylko bierze z drugiego, jak ziemia od słońca, bierze, czy daje“..

— „Bierze silniejszy“.

Ania nagle klękła u stóp siedzącego na skale Ala. Namiętnie porwała go za ręce, a płowe jej włosy, rozsypane, zamiotły mu miękko kolana w niewolniczym ruchu.

— „Bądź nim“, błagała z mocą — „ja nie wiem, czy mogę być silną, ja nie wiem. co ja mogę. Nie śmiem brać dla siebie i iść ze swoim celem swoją, choćby samotną drogą. Tej odwagi bezwzględnej, twardej nie mam. Buntuje się we mie człowiek, na myśl o oddaniu się kobiety Tobie, mężczyzno. Ale zarazem pragnę, żebyś był tak silny, byś mógł zrabować we mnie wszystkie moje skarby i żebym się cieszyła z tego. Żebym wiedziała, że tak właśnie jest dobrze. Że to jest dla czegoś.. wielkiego“...

— „Cóż to za rachunki? Dam Ci, jeśli to warto“!... z gniewną pretensją odrzekł Alo. „Więc nie mnie. nie przez miłość, ale dla czegoś poza mną... Dla mnie, jako narzędzia czegoś, o czem ty myślisz.“

Ania przypadła jeszcze pokorniej, ale oczy, pełne dumnej, zajadłej walki, podniosła od dołu ku nachylonej twarzy Ala.

— „Tak, tak“, szepnęła boleśnie, „nie mogę inaczej. Mogę czuć, że jesteś moim Panem, choć mogę nigdy tego nie wyjawić. Mogę być wszystkiem, czem chcesz, dla Ciebie, nawet służebnicą ale nie bez walki, nie bez celu... dalszego“...

— „Nie powinnaś nawet pytać o to“...

— „Nie! Już musimy pytać o to... musimy wiedzieć, mieć odpowiedź“.

— „Niema czasu na to“...

— „Ach, to szkoda".

Podniosła się z sercem pełnem miłości i żalu. Jakże kochała te ciosy, te gniewne pretensje, te starania się poniewierania jej wyższością. To była walka, zazdrosna walka o prawa Władcy. A wszak jej o to chodziło, by uledz, by się poddać. Gniew na samą siebie przeleciał w niej, jak iskra.

— „To samo, tylko w świecie duchowym", szepnęła sobie...

— „i gdybyż to coś trzeciego powstało z tej walki. Ta rządzą równe prawa, pocóż ja mam uledz. Ktoś z nas jest silniejszy. Niechże to raz się objawi".

Spojrzała wkoło. Milczeli długo. Wciąż było cudnie spokojnie, wonno, obojętnie... Teraz cały krajobraz był jej obcy, daleki, głupi.

— „Poco niegrzeczne dzieci popsuły cały obrazek", spytała, ciągnąc zapatrzonego w dal Ala za rękaw.

— „O, ta jest przecie bardzo przyjemnie", rzekł, udając, że nie rozumie; trochę się chce jeść, trochę spać, trochę"... spojrzał na nią łakomie, „zatulmy się w trawy, w cień i zaśnijmy... słońce... południe"...

— „Innemi słowy: otrząśnij, Aniu, koturny z pyłu mgławic i daj mi coś z zapasów podróżnych—zaśmiała się ona.

— „A właśnie".

— „Masz istoto przyziemna, oddana grubej zmysłowości"...

— „Czyżbym miał z tego powziąć błogą nadzieję, że nie tkniesz tych pysznych bułek z szynką i ja zjem z całą zmysłowością te wzgardzone"...

— „A nie, nie, nie!" wołała dziecinnie rozbawiona, rzucając się na owinięte w papier smakołyki, „ja chcę wszystkiego... daj koniak! Będę piła, jadła, śpiewała, spała"...

— „I dlaczego się zatrzymałaś", zajrzał jej w oczy, śmiejąc się z tak pogodną łobuzerją, że rozśmieszyło ją to do reszty.

— „Zatrzymałam się. Nie, ja nie chciałam się zatrzymać na tak dobrej drodze, tylko nie domówiłam".

— „Ania mówi, jak łobuz kawiarniany"...

— „Alo się gorszy, jak stara ciotka"...

Byliż ci sami, co przed godziną? Gdzież ślady tragizmu, męczących pytań, nieokreślonych walk? Młoda, zdrowa

para ludzka zajadała ze śmiechem obfity posiłek. Zdawaćby się mogło, że przebiegli niezmierzone przestrzenie, stamtąd, gdzie byli, dotąd, gdzie są. A wkoło śpiewały te same ptaki, kołysały się te same zioła, cisza tylko stała się jeszcze głębsza, przepaścista, tak. jakby złota jasność słońca zatopiła świat cały w jedną perłę barsztynu i znieruchomiła wszystko żyjące.

Ścieżką krętą i stromą szedł ku nim teraz człeczyna jakiś miejscowy z fajczyskiem w zębach; nie śpiesząc się, miękkim krokiem, zginając kolana, gramolił się pod górę. Jego ruchy równe i obojętne zdawały się mówić: „kiedyś tam dojdę... kiedyś". Ręce mu wisiały po bokach, jak zmęczone i odpoczywające narzędzia, zmartwiałe w chwilowym bezczynie. Ubranie też obwiśnięte na nim było i cokolwiek niechlujne, czy raczej niedbałe, ot, aby odzienie. Twarz miał okrągłą, dobroduszną i oczy wybałuszone, przed siebie patrzące, jakby w coś wmyślone. Pochwalił Boga, mijając młodą parę ludzi i usłyszawszy życzliwą odpowiedź Ani, zwolnił kroku, a nawet prawie przystanął i rozejrzał się wkoło.

— „Czy tą ścieżką dojdziemy prędzej na górę?" — spytała Ania, „czy tamtą"? — wskazała niknące w gąszczach ścieżyny.

— „Na górę chcom państwo?"

— „Tak, stamtąd widać granicę... prawda?"

— „He, a no tak, granicę"... zaśmiał się, jakby z politowaniem, „granicę... no"—brał ich za świadków takiego absurdu, „naszykowali te swojom granicę i siedzą smolachy... e... a tam to ziemia zarówno Ojcyzno... Polsko... o!" — wytłómaczył im i ruszył dalej cierpliwym, nie śpiesznym chodem... granica, granicą, a on ta już dojdzie, nie bójcie się ludzie.

— „Idźmy", wołała Ania, biegnąc w jego ślady, „idźmy spojrzeć na tamtą stronę"...

— „Pójdziemy za tamtą stronę", rzekł półgłosem Alo.

— „Kiedy?" spytała cicho, jak wśród ścian zdradliwych.

— „Kiedy zechcemy" odrzekł spokojnie

Szli już w milczeniu. Wonne, miękkie muskały ich liście grabów ciągłą łaskawą chłostą giętkich gałęzi. Torowali sobie wśród tych gąszczów drogę, jak wśród fal zielonych, i płynęli, szeleszcząc w krzakach, czepiając się sęków, mając

oczy pełne szmaragdowego blasku, a w uszach nieustanny pogwar i szczebioty drzew i ptaków. Zięba gdzieś opodal powtarzała swoje sylaby potakujące, jakby coś wmówić i zapewnić o czemś chciała stokrotnie, a dziki gołąb toczył perły rulad z siwego gardziołka, depcząc koralowemi łapkami rudą gałąź sosny. Nagle taż przed nimi fiuchnęła komicznie puszysta wiewiórka i susami zabawki na sprężynach pomknęła gładkim pniem graba, z za gałęzi zerknęła czarnemi paciorkami oczu w dół, przekręcając przekomarzająco się główiną o nastawionych uszkach i wnet, rozpuszywszy ogon, nakryła się nim cała zalotnie.

Wreszcie wyłonili się z gąszczów, odurzeni trochę, jakby zamagnetyzowani muskaniem liści i szelestem gałęzi, ukołysani śpiewną monotonją lasu, z umysłem, jakby oderwanym od wszystkiego, wolnym, wyzbytym z wiadomości złego i dobrego. Cały kalejdoskop wrażeń i uczuć został gdzieś za nimi, przeżył się i spopielał; niecierpliwie szli ku czemuś nieokreślonemu jeszcze, ale czego szukali, pewni, że się musi objawić, że gdzieś na nich czeka, tylko trzeba nie minąć, trzeba poznać, zrozumieć. Każde z nich przestało zwracać uwagę na drugie i szukali poosobno drogi swych myśli, jak odkrywca, co z nikim nie chce dzielić rozkoszy i tryumfu wynalazku; jednak podświadomie oboje czuli, że zaostrzony zmysł dążenia do jakiegoś celu nie byłby tak sprężysty, ani tak bezwzględnie wytrwały, gdyby nie byli razem. Żadne zresztą słowa, określające ten nastrój, nie padały z ich ust, zdyszanych trochę drogą.

W chwili, gdy weszli na polanę, z ziemi, z puszystej murawy, z za odłamków skał podniosły się smukłe postacie młodziutkich chłopaków. Zdziwiły ich bezszelestne prawie ruchy, z jakimi zwijali tłomoczki i, tłamiąc rozkoszne, dziecinne prychania śmiechu, ustawiali się w pewien porządek, który oczami kierował starszy mężczyzna. Były to dzieciaki kilkunastoletnie, o najrozmaitszych typach, jakie tylko Polska daje. Płowowłose czupryny, wodniste oczy i szczupłe rysy słowiańskie, obok czarniawych, śniadych, romańskich. Sławny indywidualizm polski przejawiał się w tych świeżych jeszcze organizmach najwidoczniej. Czuć było, że nawet ta sama myśl,

ten sam zamiar objawia się u każdego inaczej — nic w ich ruchach nie było z tego maszynowego szablonu, który się widuje u młodzieży szkolnej innych krajów. Każdy, zdawało się, miał „swoje sposoby“ na wszystko i swoje pomyślenie, — dlatego może, były to twarze naogół tryskające iskrami nietylko życia, ale i myśli. Kilku zajadało, komiczne strojąc miny, resztę zapasów, inni tarmosili się po cicha, tłumiąc wybuchy radości, lub ciągnęli za pięty śpiących z łokciem pod głową towarzyszy, ciesząc się z ich rozdąsanego pomrukiwania i wierzgania cienkiemi nogami w mocno sfatygowanych buciorach.

W oka mgnieniu wszyscy byli już skupieni, znieruchomieli i wzrok im stężał na chwilę skoncentrowaną na twarz przywódcy uwagą, kilka słów komendy jak slizki, ciemny wąż, wsunęli się tak nagle w krzaki, jakby ich zaklęcie uniosło z pola widzenia. Spoglądali z pod rzęs na stojącą parę i uśmiechy drgały im na ustach z radości nad widocznem zdziwieniem turystów z tak doskonale wykonanego „ćwiczenia“. Ostatnich, którzy ich mijali, spytała Ania twierdząco:

— „Z Krakowa?“

— „Z Krakowa“, uleciała z kilku różowych warg odpowiedź, która się Ani wydała radosna i przekomarzająca się,. akby pod tem słowem dźwięczały inne, w rodzaju: „A właśnie. I co nam zrobią. Naturalnie, że takie zuchy to z Krakowa“.

Za chwilę w zieleni lasu wybuchnął gwar głosów, śmiechy, okrzyki, hukania i śpiew zadźwięczał, jak kaskada źródlanej, kryształowej wody, co długo szklaną harmonją tonów towarzyszy oddalającym się wędrowcom uspakajając zmęczonych, że gdzieś jest, czuwa i żyje.

W milczeniu przebyli Alo i Ania kilkadziesiąt kroków szczytu wzgórza, porosłego rzadkiemi krzakami. Ściana lasu umknęła gdzieś w dół, rozwarły się, jak fałdy kurtyny, ruchome fale zieleni, ciemne, pojedyńcze świerki tu i tam strzeliście wznosiły baldachimy swych gałęzi ponad jasną młodzieżą leśną. Złocisty, ciepły, jakby płynny blask słońca, wyparowywał z całej przyrody, cudne aromaty, do których każde drzewo i kwiat, i woda i rozgrzane kamienie dorzucały swe wonne westchnienia, tak, że falowały barwy i blaski i balsamy. Ludzkie ciała

stawały się pod wpływem tej pieszczoty tak lekkie i rozkosznie wolne, że świadomość jakichś wzlotów duszy w przestrzenie niezmierzonych eterów, jakieś szybowanie skrzydlate, białe, w czystych błękitach ponad kolorową, rozkosznie rozrośniętą, kwitnącą i pachnącą ziemią, zdawało się możliwością, bliską urzeczywistnienia.

Kiedy stanęli u szczytu i wpatrzyli się w najdalsze kręgi horyzontu, Alo bez słowa wyciągnął w pewnym kierunku rękę. Za krańcami lasu ciągnęły się szmaragdowe pola, złociły pasy rzepaku, jakieś lśniły wody, plątały się dróżyny wąskie, jak nitki, to znów płowy pas szosy kładł się nudną, regularną linją, upstrzoną po bokach perłami białych kamieni. Tam i sam sterczały pojedyńcze drzewiny polne lub przydrożne, te wymowne, mądre jakieś drzewa miedz i dróg polskich, zadumane, pochylone nad ziemią i srodze nad nią medytujące w samotnosci swojej. Przechodniom i przejezdnym gadają one swoje osobne piosenki i przestrogi, — czasami są bardzo stare i zmęczone tem, co się koło nich działo, a zawsze piękne, jak każda istota daleko od tłumu wyrosła. Każda ich gałąź wybujała wolna, sąsiedztwem bliźnich drzew nietłoczona, każdy wicher tarmosił je i szarpał, by przecie zmóc takiego oto pojedynka bez obrony. Giął je, aż się ku ziemi kładło, aż czołem biło z obrzydliwą uległością silniejszemu, darł z nich gałęzie i liście, złotym lub krwawym deszczem sypiąc je po rudej roli jesiennej. Wreszcie dały spokój złe moce, bo nie mogły poradzić, i wyrosły sobie one drzewa samotne, znacząc po kraju jakieś nieodgadnione posterunki, krzepkie i zajadle wrosłe.

Na całej wielkiej przestrzeni w kilku miejscach przycupnięte, zakutane w krągłe krzewy sadów, usadowiły się szare wioski, błyskające bielą ścian z za zieleni — Z tej odległości zdawały się tylko tworami przyrody, jeno myśl przypominała, że tam się rusza jakaś gromada, która właśnie otaczającą przyrodę zmienić może, znieść coś z krajobrazu, lub coś w nim umieścić. — Daleko, daleko wszystko się zacierało w błękitnawo-liljową mgłę; wśród tego jakby oparu majaczyły kształty jakieś bajeczne. Tam wznosiło się coś, co panowało nad wszystkiem widzianem, a być może zawierało niezmierne,

niewidzialne wartości. Coś potężnego było w tych niewyraźnych zarysach wież i zbiorowiskach gmachów, coś, co pociągało ku sobie nieodpartą mocą. Było dalekie. a tam uleciały wnet myśli i wspomnienia i serce.

— „Widzisz", szepnął Alo.

— „To Kraków", cicho, z niezmiernym żalem w głosie odrzekła Ania.

Ręka Ala zniżyła się i palec jego przebiegł pewną linję po krajobrazie, za którą poszły oczy Ani i dostrzegły jakieś znaki niesamowite i niezrozumiałe. Drogą, wedle tych znaków, zaczął się nagle, jak wyzionięty z pod ziemi, poruszać szybko punkt jakiś i Ania, mrużąc z wysiłkiem oczy, dostrzegła, malutkiego, jak zabawka, konnego jeźdźca, który pędził przed siebie. Spojrzała na Ala, wstrząśnięta jego bladością i zaciętym wyrazem twarzy.

— „Granica",—szepnął przez zęby z wściekłością,—„straż pograniczna. Granica!!"

Ania objęła go wpół, nie z kobiecą pieszczotą, ale jak towarzysz w zamiarach sprawiedliwej zemsty. Serca ich biły głośno, równo, mężnie, zniknęło zupełnie wszystko marne i przejściowe, co lata wrażeń i uczuć w nich nagromadziły. Zostało jakieś czyste, pewne siebie, górne uczucie możliwości i postanowienie panowania nad okolicznościami. Przeszedł po nich mroźny dreszcz przeczuć zdarzeń olbrzymich. jakaś błyskawica przemknęła przez ich umysł, zostawiając wrażenie okropności i szczęścia. Dusze ich zachwiały się wspólnie, zupełnie zlane w jedno czucie, nad jakąś głębią, oczekującą ich i do której chcieli wstąpić pomimo grozy, jaka ich ogarnęła. Ania z namiętnym wybuchem zacisnęła pięści przy ustach —

— „Boże", szepnęła,—„Boże... już..".

Alo spojrzał na nią; oczy jego były, jakby senne, spojrzenie cofnięte wgłąb. coś się ważyło i decydowało w tej chwili w nim takiego, jakby przechodził w inne istnienie. Ani się zdało, że umiera jej „miły, — miły",— że jest na wieki jej odebrany i że ani chce, ani może go zatrzymać. Żal nad swą nicością, wzruszenie nad tem, co się im objawiło, zalało jej piękne oczy łzami. Utuliła głowę na ramię kochanka.

— „Dlaczego płaczesz Aniu?" rzekł spokojnie, „przecież miałaś słuszność, musieliśmy odnaleźć wreszcie drogę swego życia".

XXI. KRÓLOWE—ŚWIĘTE.

Bez porozumiewania się słowami — tak zbyteczne stają się te karykatury myśli dla pary ludzi współżyjących istotnie razem, bez żadnych więc dyssertacyj, odłożono zrealizowanie uczuć i myśli objawionych na Górze do późniejszego czasu. Oboje wiedzieli, że pamiętają o tem i że muszą dać temu nowemu w sobie uczuciu rosnąć, rozwijać się i dojrzewać w ciszy wewnętrznej swego ja.

Ania mimowoli myślała, że była to jakby chwila poczęcia w nich obojgu czegoś, co może przerosnąć ich miłość, zniewolniczyć ich, jak nigdy dotąd, ku sprawom realnym i zewnętrznym wywlec z dziedziny marzeń, obłędów miłosnych i rozpusty artystycznej—na jakąś arenę walk, nie jak dotąd z sobą, ale z całemi tłumami.

— „Zupełnie, jak kiedy dziecko przerasta rodziców rozumem i pięknością, gdy jest wykładnikiem, spotęgowaniem dwuch istot, doskonale zharmonizowanych. Dlaczegoż w dziedzinie myśli nie miałoby się stać to samo?" — dumała Ania, leżąc zanurzona w paprocie, z powieścią Georges Sand w ręku, co jej niezmiernie pomagało myśleć, jak twierdziła, ku uciesze Ala, spoglądającego sennie z pod rzęs na leniwe i miękkie skręty dymu, snującego się z zagasającego papierosa.

— „Masz taką twarz skupioną, jakby się coś z Tobą stawało", zgadnął, nie dziwiąc jej tem wcale—wszak wiedzieli wciąż o sobie.

— „Właśnie, tak jest, ale... to już ja... sobie".. zaczęła tłomaczyć nawpół, nie chcąc zupełnie.

— „Sama", dokończył za nią Alo.

— „Tak tak, właśnie... sama", potwierdziła Ania, skupiając się fizycznie, to jest biorąc twarz w ręce, łokcie opierając na kolanach i skręcając się w kłębek z miną „sowy o wschodzie słońca", jak nazywał Alo wyraz twarzy, którego nie lubił, bo był od niego daleki.

— „Sama więc.. A potrafisz?"... spytał z łagodną ironją.

— „Ty wiesz doskonale, że tak i mówisz to z... zazdrości“.

— „O co?“

— „O moje myśli. I... nie przeszkadzaj mi, bo ja mam swoje, a Ty swoje i musimy to jakoś uporządkować“.

— „Dobra gosposia... ja mam swoje i Ty swoje, rozejdziemy się oboje“, bezmyślnym głosem zanucił byle jakie słowa, ilustrujące naiwnie głębokie przewroty, które się w nim o wiele ciężej i powolniej, niż w Ani dokonywały.

Milczeli więc, dając się muskać do półodurzenia złotym promieniom słońca i czarującym kiściom przezroczyście zielonych paproci, chwiejących nad nimi uprzejmie swe koronkowe źdźbła. Gąszcz na próchnicy leśnej wyrosły był bajny, jakby ziemia pokazać chciała wszystkiemu stworzeniu, ile to w sobie zmieścić może soków, alembików, smaków przedziwnych i ile wydać z każdego cała istnień rozmaitych barw, kształtów i rozmiarów. Łapiasty, szary, twardy pełzał samym spodem mech, powyginany w kąchy poplelate, rdzą zielonawą pokryte, tuż przerastał go zielony, gałązkowaty, lśniący, jak metal, z szmaragdów i złota stopiony, a puszysty bezdennie. Wychylały się z niego z pewnym trudem, ale czupurnie, jagody wesołe, drzewka czernic i poziomki o liściach, jak kocie łapki, wśród których Ania dopatrywała coraz to większą, różowiejącą jagodę i rozgniatała ją cichaczem na języku łakomie, ciesząc się jej cierpkością. Paprocie zasłaniały ten drobiazg przyziemny, osypując nań igliwie, spadłe z podniebnych świerków, nie dając wzrosnąć wyższym jakimś ziołom, które się pchały mimo to uparcie, zbiegając się zwłaszcza tam, gdzie słońce strzelało smugą złota, prując ciemną i chłodną zieleń boru w strzały i ścieżki olśniewające blaskiem. Cisza była bezwzględna i bezgraniczna. Wkoło drzewa jakby zatalały się ciaśniej, osłaniając polankę, kędy leżeli, opodal pnia, rozsypującego się w próchno i przykrytego ciepło dobrotliwą czapą mcha i igliwia. Od jednej strony otwierał się widok na wspinające się w górę świerki, które nieme, w szat swych żałobie, były, jak mnisze dziewice, dążące za jakimś pogrzebem u szczytu w błękitach. Miało się wrażenie, że stanęły na chwilę, zmęczone stromym zboczem i jarem, osypującym im z pod nóg białe żwiry, wo-

dami wiosennemi wyprute z łona ziemi, i że wnet ruszą pocichu, powoli, ale wytrwale i dojdą tam, kędy ich ciągnie nieopisana tęsknota za cudnością błękitu i słońca. — U dołu w kotlinie szmaragdowej, jak polerowany chryzopraz, skakały, przysiadłe na chwilę malutkie świerszczyny — dzieciątka.

— „Nie może być.. przyjdzie tu jaki boginiak, dusiołek, południca, Dziwo-żona, czy inne licho i zadławi nas za to, że tu jesteśmy, zbyt mało upodobnieni stworzeniu leśnemu i polnemu", rzekł cicho Alo.

— „Nawet już coś idzie" szepnęła Ania, — „patrz, jak świerszczaki są wystraszone.. przysiadły, podniosły wszystkie łapki, rozczapierzyły wszystkie paluchy i krzyczą gwałtu, wrzeszczą w niebogłosy każdą szpilką".

— „Z nas, nie z lasu wyjdzie ten potwór, co nas zgładzi", mruknął Alo.

— „Albo to bóstwo, które nas zbawi", odrzekła Ania.

— „Jakże to było... Tobiasz noc całą walczył z Aniołem, który był nasłany, by mocy człowieka doświadczyć. Musimy walczyć nawet z bóstwem w sobie, zapewne, by siłą walki mierzyć jego potęgę.

— „Wszystko, co się czci, jest bodaj tylko wytworem tej potęgi, wyłonionej z walki o nią, z wszystkiem przemijającem, człowiek walczy w sobie o stałe bóstwo i rzuca je w ogień snów i namiętności, by albo zniecestwić, jeśli nie było warte, albo wyprowadzać je coraz czystszem, coraz silniejszem".

— „Dość brutalnie walczy natura... dopieroż człowiek z człowiekiem!.. I przecie my nie wiemy jeszcze, jak dalece brutalnie. Na to trzeba... kataklizmów. O wtedy, dopiero wtedy, zobaczymy, jaki się bóg objawi w tej walce".

— „I po czyjej stronie"...

— „O, tak, po czyjej stronie, po czyjej! Najbezwzględniejszego zapewne".

Daremnie więc odpędzali te myśli zaklęciem zieleni lasu i błękitu nieba, daremnie zgłuszyć je chcieli pięknością krajobrazu. Widoki, jakie oglądali, przestały im być czystem, bezpośredniem wrażeniem; tłomaczyły im się ciągle, jako wskazówki, wymowne prawa, przemowy tajemne i wróżące. Co? Tego jeszcze nie byli pewni.

Zapragnęli więc w pieszczotach, w upojeniu miłosnem odnaleźć doskonałą bezmyślność spokoju, dającego możność tworzenia nowych pojęć o rzeczach. Chcieli uczynić z umysłów i wspomnień zupełne auto-da-fé, by nic nie przeszkadzało przyjrzeniu się swym nagim duszom. Wierzyli przez całe krótkie godziny letnich nocy, że upoiwszy młode ciała zmysłową rozkoszą, wyłonią już swobodnie niezależne od nich myśli i te wykreślą im nowe drogi. Alo zwłaszcza, nie uznający, by nim mogły kierować okoliczności, nie mógł się zgodzić na czekanie zdarzeń, nie będąc do nich przygotowanym. Chciał spotkać wszystko, co by się miało zdarzyć, z gotową bronią w ręku. Chciał ku temu mieć myśl swobodną i wyzwolenia myśli szukając w nasyceniu zmysłów, pociągał Anię w krainę rozkoszy, z której oboje wychodzili jednak raczej osłabli, lub podnieceni, dalecy w każdym razie od przenikliwości umysłowej, o jaką im obojgu tak bardzo chodziło. Ania czuła nawet, że tym sposobem przegrywa swoją człowieczą sprawę; kobiecym urokiem tryumfując co wieczór i co ranek, w sennem zadowoleniu snując później pół-myśli, pół-marzenia zwierzęcego zadowolenia, czuła podświadomie, że coś traci i pomniejsza.

— „Jeśli dam się pochłonąć pieszczotom, nie prędko odnajdę swą duszę, duszę kobiety, spętaną zmysłami. Alo bezkarniej swoją naraża na te rozkosze... lub może... mężczyzna jako twórca, widzi w tem tylko środek twórczości. Kobieta, jej cel. W tem cała różnica wieczysta i zagadnienie. Być daleką nie jestże to zabić w sobie źródło życia? Być poddaną „mężowi zmysłowemu“ nie jestże zabiciem źródła ducha?

— „Czy też Państwo nie byli jeszcze w Grodzisku? Takom pieknom miejscowościom możemy się pochwalić przed każdym turystom“ — przemawiała raz do nich pani Imbryczkowa, właścicielka pensjonatu, gdzie mieszkali. Imość była nieopisanie otyła, jednostajnie gderliwa i klekocząca banalnie, tak, że starali się jej unikać. Jedynym jej urokiem był sposób mówienia z miejska wiejski, co się przedziwnie nadawało do leczniczej miejscowości, o której stale—„nasz narodowy kurort“ mawiała z namaszczeniem.

— „Grodzisko ..“ poszukała Ania w pamięci — „naturalnie dziś być musiało Grodzisko, Alu. Koniecznym mi jest widok

miejsc, gdzie żyły kobiety święte i niezależne, niezależne od zmysłów i mężczyzny".

— „Pielgrzymka do pamiątek po feministkach XIII wieku. I owszem, cenię wysoko odosobnienie i swobodę indywidualnego rozwoju średnich wieków".

— „Niecierpię męczarni ówczesnych, dobrowolnych i brudnych".

— „Wiem, że jesteś poganką i sybarytką o rozbujałych zmysłach, jak każda mniej więcej normalna kobieta".

— „O, mój że Ty... asceto", przymiliła się Ania, wyciągając się jak kotka przez ramiona Ala; wiła mu się na kolanach, czując pocałunki na ramionach, szyi, ustach i ciepłe spijanie zapachu jej rozbarzonych rannem czesaniem włosów.

— „Moja śliczna, moja Ania... a jednak to nie jest, wiesz sama, to nie jest najważniejsze w nas, ani koło nas".

Ania skrzywiła się pociesznie. Zasadniczo tak, ale były dnie, kiedy potrzebowała wierzyć, że to jest najważniejsze, by usprawiedliwić swą namiętność. I zresztą. Ileż razy Alo mówił, że go prócz niej i ich miłości nic nie obchodzi. Ale... prawda, w miłości tej, oboje szukali czegoś poza zmysłami i domagali się tego od siebie wzajem Ale że każde szukało inaczej i czegoś innego, więc często przeszkadzali sobie, i właściwie Ania miała wrażenie, że pomagają sobie tylko poza dziedziną zmysłów.

— „Zmysły nie łączą ludzi, tylko pętają, zapomina się o pocałunkach, pamięta się o rozmowach", formowała sobie Ania literackie aforyzmy, które ją do niczego nie prowadziły i nic nie tłomaczyły, aczkolwiek były trafnem określeniem rzeczy. Ale nie słowa, jeno zdarzenia umieją wyłuskać z gmatwaniny uczuć ich czyste jądro i dać im moc twórczą.

— Oboje podświadomie liczyli na to, że samotność i odosobnienie od całego ich zwykłego życia pozwoli im odnaleźć ten sens życia, który się im zatracał w sposób fatalny w ostatnich czasach. Bezcelowe wydały im się obojgu szarpaniny miłosne, a nic lepszego nie mogli wymyśleć, jako pokarm dla swego duchowego niepokoju. Tu w ciszy, w oderwaniu od stosunków z ludźmi, nie czytając gazet, nie otrzymując listów,

nie rozmawiając z nikim, badali siebie bezpośrednio i tak swobodnie, jakby się znaleźli na bezludnej wyspie.

Spojrzała na Ala: leżał w trawie z głową i twarzą, skrytą w ramiona. Oto właśnie. Żadnego nikomu dostępu do oczu, serca i myśli. Tylko sam ze sobą w ciemności zamkniętych powiek, zaciśniętych ramion.

— „Alu, patrz wkoło siebie, a nie zawsze i zawsze w siebie“ — szepnęła miękko, kobieco.

Podniósł wzrok zmęczony i mętny.

— „Ty moje marzenie.. Ty cudna... żeby też nic i nikt nie stał pomiędzy nami“.

— „Wszak niema tu nikogo“.

— „Są ludzie“.

— „Gdzież znowu?“

— „O.. płoty... płoty postawić musieli na tej łące, żatamować strumyk, rozsadzić prochem skały i kosić łąki“...

Ania się śmiała. lubiła, gdy mężczyzna w dziecinnej formie wyrażał swe głębsze myśli, bo wtedy w kobiecie przeważały objawy macierzyństwa i te dawały jej wyższość.

— „Mały Alu! płoty dla krówki, sianko dla konika, kamyki dla drogi, woda do młynka... tak, żeby było wszystko!“...

Szli tego dnia słonecznego i wietrznego ku onemu Grodzisku, z sentymentalną pielgrzymką ku cieniom świętych niewiast, królowych i ascetek, by i one powierzyły im coś ze swych odkryć w dziedzinie ducha.

— „Jesteśmy, jak pilne dzieci, co ciągle się pytają, chcą się uczyć i skorzystać: od kwiatów, chmur i skał, od natury i ascezy“...

— „Ja o nic nie pytam i tem mniej chcę skorzystać! Ja tylko myślę“, rzekł Alo tonem lekceważącym, który Anię dziecinnie irytował.

— „Tylko myślisz?... a indyk, wiesz co robił... i co z tego wynikło?“, rzuciła mu szybko z dąsem.

— „Zdechł, by nie być zarżniętym, upieczonym i zjedzonym, — to już był piękny rezultat myślenia; nie każdy myślący obywatel tego kraju może się tem pochwalić“, odrzucił jej Alo.

— „Ach.... my oboje za dużo myślimy“...

— „Ty zwłaszcza, jak na kobietę, z pewnością: i za dużo, i za mądrze“.

— „Dlatego trudno ze mną wytrzymać".

— „Dlatego, ale dlatego też bez Ciebie nie można wytrzymać, Ty, Ty, Ty"... mówił przez zaciśnięte zęby, wziąwszy Anię za ramiona i potrząsając nią z pasją.

— „Nie wiem często, czy mnie kochasz, czy nienawidzisz", szeptała Ania, broniąc się pocałunkami, które jej oddawał tak gwałtownie, że traciła oddech i przytomność.

— „I ja nie wiem... owszem, wiem, że Cię kocham, jak nigdy nikogo i nic nie kochałem w życiu i że chwilami nieuchwytność Twoja, wymykanie się z pod mego prawa posiadania doprowadzają mnie do obłędu. Boję się, że mógłbym zabić Ciebie, a mam często ochotę sam... bo przecie to męka".

— „Ala! przecież ja, ile mogę"...

— „Tak właśnie! Ile mogę! Ty masz na to Twoje oddanie się, miarę i porachunki, a ja nie mam i nie chcę, żeby u Ciebie to było. Wszystko... albo"...

— „Albo niech idę we światy..."

— „A... tego właśnie nie mam siły Ci powiedzieć..."

Ania, wyczerpana pocałunkami, a zwłaszcza rozmową, siadła miękko na brzegu strumyka i wyciągnęła się, jak długa, podkładając sobie dłonie pod głowę. Na jednolicie błękitnem, bezdennem, bezkresnem niebie topniało parę płochych puchów obłocznych olśniewająco białych. Czuć było, że lada moment błękit, bezmiar nieskończony pochłonie, wypije ten ślad życia i ruchu i stanie martwy, niemy, niepojęty, ciągnąc i męcząc wzrok swą bezgraniczną jednolitością. Resztki mlecznych puchów śpieszyły dokądś, gubiąc po drodze swe wiotkie szaty bezcielesnych tworów, układających się w obrazy i wywołując myśli, niemożliwe do odnalezienia w błękicie nieskończoności. Stopniały, sczezły ostatnie obłoki. Straszna pustka i dal niepojęta pochyliła się całym stropem szafiru nad ziemią zieloną i radosną. Ania szybko i z przestrachem oderwała oczy od bezdni nieba. Wkoło puszyły się i weseliły trawy soczyste i słodkie gębie bydlęcia, miodne zioła — pszczół biesiada codzienna, — chwiały zapraszająco kwieciem, białem, liljowem i żółtem, tkając adamaszek łąk w desenie makaty z bajki tysiąc i jednego dnia. Ziemia pachnąca była, jak kobieta po rzecznej kąpieli, strumyk biegł, furcząc i burcząc po swojemu

wzdłuż białych skał, osypujących swe żwiry w jego przezrocze wody; na usypiskach żółtych złomów wczepiały się ciemnozielone sośniny. Po drugiej stronie łąki cichy, gęsty, dyszący żywicą, stał las szpilkowy. Wiatr gwizdał nad obramowaną lasem i skałami doliną, długą łąką leciał, ledwie uchylając niewidzialną stopą trawy, a po chwili zaczynał na nowo, albo też były to miljony wietrzyków, goniących się bezustannie po dolinie.

Ania myślała: „weź mnie, strumieniu! położę się w twych nurtach przejasnych, na twardem łożu z białych kamieni, ty obmyj mnie z wszystkich warów krwi, z ziemskich pyłów i namiętności, zmróź mi serce w przeczysty kryształ i niech cicha, senna, spokojna, zamienię się w stradze na ondynę niewidzialną i nietkniętą, tylko chyba marzeniem".

Ale tak mówiło tylko marzenie. A wszak wołało... Życie! I wciąż, wciąż mówiło coś innego, coś nowego, wciąż wabiło, ładziło, oszukiwało, drwiło i przepraszało, pieściło i nakazywało. I miało jeden nakaz: idź! Szli więc ciekawi i wyczekujący. Z łąk, gajów i skał wyszli na pole nagie, nędzne i splugawione głupią pracą głupich ludzi. Obłe, łagodne wzgórza staczały się ku wąwozom, odarte dawno z piękna roślinności przyrodzonej, a nędzne zagony były obrazem nie trudu, ale gmerania się jakichś istot bez siły i mądrości. I w pewnej chwili ukazała im się wioska szara, przetkana trochę ubogą zielenią ogrodów, bez drzew, bez cienia, bez kwiatów; opodal stromym zboczem pełzły jedna za drugą postacie mało kształtne, uginając się pod jakimś trudem nudnym i upokarzającym.

Gdy się zbliżyli, dostrzegli, że kobiety wiejskie dźwigały dzbany, wiadra, pierwotne koromysła jakieś...

— „Noszą wodę... Cała wieś. Nie. Niepodobna",—szepnęła Ania ze zgrozą.

Alo uśmiechnął się ironicznie:

— „A iluż z nas tak samo... pomyśl..."

— „Ach, nie, nie, tu jest bezmyślny trud... Czy niema studni w wiosce?",—spytała jednej z kobiet, zatrzymując ją na twardej, ubitej miljonami bosych nóg ścieżce, która się wiła, jak jadowita żmija zielonym wzgórzem, znacząc swym jałowym, martwym śladem leniwą i pracowitą, bezmyślną i upartą wolę tych ludzi.

Kobicta stanęła. Podniosła swą mokrą od potu twarz i dysząc wpatrzyła się chwilę tępo i niechętnie. Była jakby obraza w jej oczach chmurnych za to pytanie, stwierdzające ich niezwykłą nędzę i upokorzenie, — było też osłupienie istoty, wyszarpniętej z codziennego, powolnego rozpędu.

— „A jażci, że nima, inacy, to ktoby ta wode ciągał tyli kawał i na tylachną górę... o z tej tam studni w dołecku... Krwawa nam ta woda... Co się nadźwigają ludzie... co namęcą... o la Boga" — zaczęła sennie i monotonnie, jak pacierz wioskowy, codzień odmawiany do „krwawej wody".

— „Dlaczegóż nie zrobicie studni?".

— „O, Paniuńciu. na tylachnej skale, na takiej górze"..

— „To pocóż tu wioskę stawiać?"

— „Abo to my stawiały, tak juz ojce-dziady postawiły a my ta urodzone".

— „To wynieście się gdzie, kopcie... nie... jakże tak?"

— „E"... — zaśmiała się trochę kobieta — „jakze ta Wynosić się. Były takie, co do Hameryki, ze to lepi i bogato... to ich tam zmora-nuda zjadła... A kopać... Ta nie ugryzie gruntu i woda tak wysoko nie puńdzie. My do nij musim, jak nam juz tak się przyrodziło".

Ania zbiegła na dół z płomieniem i łzami w oczach, depcząc krwawą ścieżkę. wiodącą do studni. Alo szedł za nią.

— „Polska ludowa" — mruknął. „Piasty... przyszłe władce... Niewolnicy tej wody, tego musu i własnej beznadziejnej głupoty. I tak od dołu do góry".

Ania stanęła nagle. Obróciła ku niemu twarz niespodziewanie rozjaśnioną. Płomień jakiś leciał z jej oczu i czoła, nad którem wiewały włosy, mające swe własne, niejarzmione skręty.

— „Alo, Alo, ależ my też... my wszyscy, którzy wierzymy, że coś stać się kiedyś musi.. innym, praktycznym ludziom, wydajemy się równie głupi i szaleńcy. jak te baby, dźwigające wodę w beznadziejnym trudzie. A przecież nie ustaniemy, Więc i to... któż wie, co znaczyć może... My tylko tego nie rozumiemy, a te kobiety, noszące wodę-życie pod stromą górę, krętą ścieżką, tak cierpliwie, tak wiernie, są może, czerpiąc tam w dole i nosząc wciąż, tam, ku górze, może są bliższe prawdy"...

Blask pogodnego szczęścia zmienił do niepoznania twarz Ala, patrzącego na Anię z niemą, lecz głęboką wdzięcznością. Objął ją bez słowa wpół i przycisnąwszy do siebie, pocałował w skroń, szepcząc cicho:—„Tak, Ania“. Wszystko było im wzajem wytłomaczone bez dalszych słów. Szli w milczeniu, pogrążeni w myślach, o których wiedzieli z ukojną radością, że są wspólne.

Zbiegłszy w wąwóz, wchodzili znów mozolnie na strome wzgórze, w pętlę Prądnika ujęte. Niedziwne było, że 700 lat temu brodate książę śląskie, Henryk, mąż świętej Jadwigi, cysterki i matki sześciorga dzieci, wzniósł tu zameczek obronny, który zawzięte Mazury mu wciąż odbierały. Na wzgórzu czub zieloności otacza cieniem staletnich drzew kościołek i ermitaż słodkich panien Klarysek, fundacji Bolka Wstydliwego w XIII wieku. Białe tafle piaskowca, przerosłego szmaragdem darni, zdają się być te same, które deptała obuta w sandał stopa siostry Bolkowej, świętej Salomei, przełożonej Klarysek. Dziwna to Pani, jak dziwne są niewiasty całej tej mistycznej rodziny. Córka Leszka Białego i Grzymisławy rusinki, Klaryski także na starość. Wschodni mistycyzm musiał przeniknąć wychowanie dwojga królewiąt, leszkowych dzieci jasnowłosych: Bolka i Salomei. Oboje bowiem ślubowali czystość i dotrzymali jej nawet w związkach małżeńskich. Dziwni ludzie, dziwne czasy... Dwie są malutkie dziewczynki: na dworze polskiego książęcia Salomea, a w Węgrzech rówieśna jej, cudna królewna Kinga, córka Beli węgierskiego i cesarzówny bizantyjskiej, z rodu Laskaryssów. Układy rodzinne zamieniają czteroletnie dziewczątka: Salomeę na żonę Kolomana węgierskiego, Kingę wiozą piastunki do Polski, dla cnotliwego Bolka na mistyczną żonę. Siostra jej, Jolanta, oddaną zostaje Bolkowi Pobożnemu, księciu na Kaliszu, któremu rodzi dwie córki. Lecz po latach panowania na dworach, wśród tego złotego ciężkiego od haftów i rzeźb, gwarnego ucztami i pieśnią, zbytku Średniowiecza, święte wdowy, wszystkie cztery, Grzymisława z córką Salomeą, z synową Kingą i jej siostrą Jolantą zrzucają krasne szaty wielko-książęce, zrzucają purpurowe płaszcze i czapki sobolowe, kolce i pierścienie, rzucają dwory i służebne... idą wdziać bure habity Klarysek i na bose stopy wsunąć sandały drewniane.

Ponad ich, otoczone nimbem świętości, głowy, ponad klasztorami, fandowanemi przez gospodarne księżne - święte, poprzez pobożnych panien zgromadzenie, otaczające swe przewodniczki, jak stado spłoszonych jaskółek, przewala się raz po razu straszliwa nawała tatarska. Bronią się od niej cudem, modlitwą, umartwieniem, całą potęgą swej świętości, wiodąc one, czyste i silne, bój z zastępami szatana i... zwyciężają.

— „Alo, ...rozumiesz, one zwyciężyły... tą siłą, która była w nich, woli najwyższe napięcie... najpotężniejsze... zabicie zupełne zwierzęcia w człowieku“.

— „Czy to daje potęgę, czy raczej daje ją rozwinięcie do najwyższego stopnia wszystkich swych właściwości? Wielkie pytanie“, zamyślił się Alo.

— „Nie, wtedy powstanie tylko ta jałowa walka, jakiej my jesteśmy obrazem“, rzekła Ania, „wciąż w nas toczy bój Anioł mój z moim Szatanem, szarpiąc mnie na... bezużyteczne strzępy“.

— „Bezużyteczne! Ania! Wszak żyjemy pełnem życiem i nic z tego, co ludzkie nie jest nam obojętne“...

— „Ale siła, siła tworzenia czegoś w losach świata, siła zwyciężania, siła niewidzialna, przetwarzająca ludzi w myśl moją... masz-że ją ty... Ja... nie“...

— „Siła. Czy to jest najgodniejszy cel... trochę to jaskiniowe pojęcia“.

Nie, to prawo przyrody, które najdespotyczniej narzuca się też i obowiązuje w świecie ducha. Trzeba być silnym. I zwyciężać“.

— „To już i od przypadku zależy“.

— „Taka siła musi rządzić i ujarzmiać przypadki“.

— „Tak, istotnie, my nie możemy mieć jeszcze najmniejszego pojęcia o fizycznej sile woli; dawniej ludzie o tyle mieli o tem jakąś wieść jaśniejszą, że łączyli to ze wzlotem duszy do Boga i, działając w tem napięciu woli, burzyli porządek rzeczy lub sprawiali fakty, zwane cudami“...

— „Myślisz więc, że zbiorowe napięcie woli w mistycznych duszach i owych książęcych par, poświęconych czystości owych niewiast z rodów panujących, uniżających się dobrowolnie do posług trędowatym, życie ich w ubóstwie, odtrącające

wspaniale wszystkie pokasy świata, myślisz, że to ocaliło wówczas Polskę i chrześcijaństwo?“.

— „Właśnie tak myślę“...

Oglądali mały kościołek, pełny brzydactw parafjalnych, świeżych i sztucznych kwiatów, koszlawych figur świętych; było tam miło i przytulnie jakoś, jak w komnatce, kędy sama dobroć mieszka. U drzwi, wśród krzewów i wonnych ziół mięty, spotkali smakłą, całą w czerni postać włościanki, która głosem śpiewnym i melodyjnym zaczęła tłomaczyć im o miejscu, które zwiedzali, Mówiła o świętej księżnie Salomei, jakby ją dopiero widziała, o jej zwyczajach, życiu, cudach i błogosławieństwie na okolice.

— „Patrz, ona jest do nich podobna“, szepnęła Ania.

Istotnie, tercjarka w swej czarnej, gładkiej, sukni i czarnej chusteczce na głowie, wyglądała prawie, jak zakonnica; była przytem szlachetna w każdym ruchu rąk, szczupłych i rasowych. Mała jej głowa o ostrym profilu, drobnych, suchych rysach, pociągniętych śniado-złotawą skórą zwracała się w opowiadaniu ku podróżnym wdzięcznem pochyleniem, przyczem pasma kruczych włosów wysuwały się z pod chusteczki i błyskały ciemne oczy, obramione gęstą rzęsą. Drobne usta zaciskały się w westchnieniach pobożnych, podczas, gdy raz po razu zgrabnie, szybko i bez wysiłku, klękała, biła się w piersi i podnosiła, znacząc temi ruchami etapy pobożnej pielgrzymki. Zstąpili do grotki z szarego kamienia polnego nawpół ułożonej, nawpół wykutej w łonie ziemi. Przez otwory okienne wglądały. jakieś bujne zioła o złotych kwiatach, głogi czepiały się kolcami wiotkich gałęzi za mur kilkusetletni, a kiście zdziczałego bzu tłukły o kamienne szkarpy dawnych bastjonów, swe liljowe pęki, miotając z nich na wiatr strugi aromatów, jak z kadzielnic. Przedziwny zapach kurzu, kwiatów i kadzidła mieszał się z wilgotnym oddechem kamieni.

— „Oto jest świętej księżny łózecko z kamienia polnego, tu se spocywała święta nasa Pani, tu modły do Boga wznosiła za polski kraj, by go od nieprzyjaciela okrutnego zratować racył. Amen“.

Na gołej ziemi w niszy groty leżały białe kamyki, ułożone w kształt „łózecka...“.

— „Boso, zimą i latem, w grubym habicie, sukni zakonnej świętych panien Klarysek chodziła święta księżna koło obrządków gospodarskich i biednym najniższe posługi oddawała z radością, poddanych swoich szczególną otaczając opieką i całem sercem ratując w niedoli“ recytowała słodko tercjarka.

— „Była dobrą?“, spytała półgłosem Ania.

— „Jako miód i mleko, dobrom była święta nasa, nie legła, nie zjadła swego postnego jadła, by człeka nie dogodziła. A łask wielkich doznali ci, co się pod jej opiekę udali, w miejscach tutaj przez nią uczęszczanych, uświęconych...“ padła na kolana przy ścianie grotki i westchnęła kilka razy, bijąc się w piersi. Ania powoli zgięła kolana, przytuliła głowę do pachnącego pleśnią wieków muru.

— „O moje święte, o moje polskie święte i księżne! O imionach tak dźwięcznie brzmiących: Rusinko Grzymisławo, węgierki Kingo i Jolanto, Salomeo polska, zstąpcie, zstąpcie znów na bój, na wieczny bój Polski z szatanem... bowiem jest w przestrzeni, ciężkiej od przeczuć, groza burzy i tysiące zdarzeń gwałtownych i przerażających. Czai się tuż, tuż, coś niepojęcie niezwykłego. Wszystko minie i wszystko zmartwychwstanie. Bądźcie z nami, Polskie Walkirje Krzyża, modlę się do was o tę siłę woli, siłę duszy, siłę przekonania o świętości bronionych spraw“.

XXII. MŁYNY GWARZĄCE.

Zstąpili dnia tego, o przedwieczornej godzinie, kiedy gra barw w obłokach jest najpiękniejsza, w dolinę, i szli z biegiem śpieszącej, gwarzącej rzeki. Niebo było zasnute na zachodzie smugami liljowej barwy, wśród których słońce nurzało swą purpurową twarz, barwiąc niebo rumieńcem, przechodzącym na firmamencie w bladość i spokój.

Nikły księżycek, młodzik tygodniowy, przyglądał się zimnym profilem gorejącemu słońcu, blady z zazdrości o piękność usypiającej zorzy. Noc rozrzucać zaczynała na jasnym atłasie sklepienia swe pierwsze klejnoty gwiazd. Słońce gasiło je jeszcze blaskiem pełnym drgającego życia, purpurową falą zalewając niebo, niby ciągniętą za sobą królewską szatą, zbroczoną krwią tyranów.

Rzeka niestrudzenie pędziła po kamieniach, pieniąc się, kłócąc z przeszkodami i śpiewając na cześć ziemi i słońca. Gwaru jej i ciągłej opowieści słuchała Ania godzinami, leżąc na urwistym brzegu, zarosłym sosnami, kędy wiatr podnosił tumany płowego piasku i, kręcąc niemi, jak welonem z pajęczyn, rzucał w lśniącą wodę mgłę kurzu i zeschłych liści. To znów, schodząc nisko nad samą wodę, kładła się na brzegu i z twarzą tuż pochyloną wpatrywała się, jak tańczy jej odbity w ruchomem zwierciadle obraz, jak zielone włosy ondyn rzecznych czesze prąd, lecący wciąż bez pamięci przed siebie i jak rozkoszna, chłodna woda, całuje i tuli kamienie nieczułe, dąsa się i pieni i warczy, napotykając je wciąż na swej drodze. I niczem było głośne ostrzeżenie biegnącej wody, nadlatująca, następna biła o te same kamienie, te same wydając srebrne kląskania, westchnienia, śmiechy i płacze.

— „Na nic głośna skarga, każda kropla chce sama przejść tę samą drogę, rozbić się o kamienie, prysnąć, zniknąć w słońcu, opaść mgłą mleczną i znów wędrować bez końca...“ dumała Ania.

— „Idźmy koło młynów, zobaczymy dąsy ujarzmionej wody i chytrość ludzi“ — rzekł Alo, kierując się z biegiem rzeki, wśród skał i małych pól, białych od gryki lub żółtych od rzepaku. Wśród szmargdu łąk wyglądało to, jakby ktoś porozrzucał chusteczki po praniu i zapomniał je pozbierać. Szlaki maków lub bławatków zdobiły jasnozielone, zlekka żółkniejące łany zbóż.

Rzekę chwycono tu w drewniane zręby i wybrano z niej kamienie; zmieniona, nudna, spokorniała, toczyła szybko swe syte i jakby nabrzmiałe wody. Ciemna głębokością, rzucając się z impetem pod lśniące srebrnemi smugami, omszone koła, parła niemi i tarmosiła cały, trzęsący się ze złości, stary czarodziejski młyn.

Podparty na palach, jak na nogach i kolanach, przyczajony, w czapie dachu, na uszy okien nasuniętej, mełł w bezzębnej paszczy złote ziarno pól, gniotąc je i ścierając z pasją, ciężarem żaren, poczem pluł i prychał śnieżną biel mąki na wszystkie strony, starając się zasypać ludziom oczy i gardła. Stary pasjonat trząsł się cały, aż dygotał, czekając niecierpli-

wie, aż ustaną wrzaski ludzkie i tertesy, a on spokojnie sapiąc. ociekający ciurkiem wody z kół, spoglądać będzie podstępnie, jak się z mgły i księżycowej poświaty wyczaruje bajka polskiej wsi i rozsnuje w cieniu jego kół i grobli cały swój tęczowy korowód mar, widm i dziwowisk.

— „Och, stary, stary, patrz, jaki on komiczny, ten bajkowy młyn, tędy, widzisz, biegnie Pielędrusia z balu, gubiąc złoty trzewiczek, po który schyla się królewicz, jadący na siwku złotogrzywku... wiesz, ten konik z Bajarza, co to trzeci brat „głupi" wchodził weń jednem uchem, a wychodził drugiem — rycerzem w zbroi".

— „A, tak, „der reine Thor". Parsifal wygrywa przez swe odosobnienie się od świata zmysłów, od kobiet — kwiatów z ogrodu Klingsora. Uczy nas, patrz, każda legenda, jak dalekimi być trzeba, żeby być... silnymi".

— „Jest to jednak może tylko... legenda, literatura. Czasami mi się zdaje, że tak, najsilniejsi są samotni"...

— „Z pewnością, dowodem słabości jest wspieranie się o czyjeś ramię".

— „Albo wzmożoną podwójnie siłą. Któryż to, aha Kant, powiedział, że dopiero mężczyzna i kobieta tworzą doskonałą całość. Jednością całkowitą, obdarzoną wszystkiemi pierwiastkami, jakiemi rozporządza natura, może być tylko para, przyznaj".

— „To słowo samo w sobie zawiera znaczenie rozrodcze, wykluczające pracę ducha i jego potęgę".

— „Ale jeżeli ma na celu twórczość duchową właśnie?"

— „Wtedy jest taką anomalją, urągającą otoczeniu, naturze i wszechświatowi, jaką my jesteśmy, Ania, my, szukający razem sposobu poczęcia nowego życia dusz i umysłów, i wlokąc za sobą te ciała... te ciała, Ania", — szeptał, tuląc głowę do jej rozkosznych piersi, wzdymających się pod batystową sukienką.

— „I to jest piękne",—szepnęła rozmarzona,—„patrz na to małe, przyziemne życie. Widzisz, chciałabym czekać tak na Ciebie co wieczór, w zapachu chleba i rosy, wsłuchana w szmer i bulkot wody... próg domu zamiotłabym czysto na Twoje przyjście... na nasze śluby"...

— „Których nigdy nie będzie".

— „Których nie będzie, ukochany mój"—rzekła słodko— „nie będzie, bo tak chce, nie tylko los, toby dla silnych było tylko podniętą do walki, ale dlatego, że i my nie chcemy. Poco w użeraniu się z niesprawiedliwością ludzką, z prawem i obyczajem zatracać cenne siły. Lepiej mijać..."

— „I życie przechodzi na rozstaniach i pożegnaniach".

— „Na spotkaniach i powitaniach, mógłbyś też powiedzieć".

— „To nie jest życie razem".

— „Jesteś mi zawsze obecny".

— „Nie mam usposobienia na mistycznego kochanka z legendy, potrzebuję... kobiety przy sobie"—rzekł brutalnie— „a mam marę nieuchwytną... ale i uchodzącą".

— „Masz duszę zawsze wierną".

— „A, temu nie przeczę... ale... czasami nad siły ludzkie jest samotność".

— „Musisz być silny, inaczej poco żyć? A przecież możesz być panem siebie i okoliczności, gdy tylko nauczysz się móc niczemu nie ulegać".

— „Ach, tak, tak, to wszystko są mądre, subtelne, nawet prawdziwe słowa, ale stokroć mniej warte, niż jedno oddające się: kocham".

— „Wiesz, że i to mogę powiedzieć".

— „O wiem, że i to umiesz powiedzieć".

Ania stanęła nagle i rozluźniła uścisk ramion, szli bowiem objęci wpół, mówiąc sobie drgającemi wewnętrznem rozdrażnieniem głosami rzeczy dojmujące. Oboje patrzyli na siebie: z pod ronda białego kapelusza, jasna, bladawa twarz Ani, okolona płowemi puklami, zdawała się twarzyczką dziewczynki, tembardziej, że oczy jej pełne były wystraszenia i krzywdy doznanej. Nabrzmiałe pocałunkami, wypukłe usta zacięły się i zeschły nagle, jak kwiat, spalony ostrym powiewem. Odeszła trochę i stanęła, wsparta na jednej nodze, obutej w biały, płócienny trzewik, wyglądający z pod krótkiej granatowej sukienki w białe groszki z białym dziecinnym kołnierzykiem. Wyglądała na płoche i kapryśne dziecko, które porzuca zepsutą zabawkę, krzepiąc się daremnie, by nie płakać

z żalu po niej. Ręce tylko, wymowne swe ręce kobiety, która żyła i cierpiała, wykręcała nerwowo, łamiąc palce w ruchu, pełnym bólu.

— „Poco to wszystko?"—szepnęła.—„Dlatego, że chwila rozstania się zbliża. Myślmy o następnej... o spotkaniu".

— „Któż nam je zagwarantuje?"—rzekł Alo głosem głuchym, pełnym rozpaczy.

— „Tylko my sami: oddaleni, a jedno o drugiem pamięta"... zarzuciła mu ręce na szyję i całowała smutne oczy, ciepłe, głębokie usta, skroń pachnącą i bijące niespokojnie serce. Ukojeni chwilowo, szli powoli dalej. Ale dusze ich były pełne niepokoju, pytań i znużonej ciekawości. Byli, jak owa z bajki żona Sinobrodego, która, otworzywszy sześć drzwi kluczami z rozmaitych metali, przed ostatniemi, kryjącemi samą tajemnicę, staje wahająca się, ze złotym kluczem w ręku i tych drzwi otworzyć nie śmie.

Potrącając białe, ostre kamienie nieuważnemi krokami, szli, mając z jednej strony zakłopotaną, zapracowaną rzekę, bulgoczącą tu głosem starej ochmistrzyni, naglącej dziewki do pracy, z drugiej odłamy skał, wyrosłych wśród łąk i kawałków gajów, tak niespodzianie, jakby je kto rzucił tam przypadkiem. Znów inny młyn, gderacz stary i liczykrupa zabiegliwy, ukazał się ich oczom, łomoczący wszystkiemi swemi wnętrznościami z drzewa, żelaza i kamieni.

Ludzkie głosy starały się go przekrzyczeć i zlewały się z hałasem wody i kół w jeden gwar, nie tyle harmonijny, co swojski. Gdzieś raz po razu beczała uparcie owca i psiaczek jakiś, ujadając wesołutkim, szczenięcym głosikiem, bawił się z kimś w cieniu wierzb, słaniających się wiechami gałęzi, wkoło całego obejścia.

Kilku gospodarzy stało, wspartych ociężale o wóz lub słupy okopu, ćmili fajki i, spluwając pogardliwie, pogadywali o czemś dość żywo. Konie gryzły skwapliwie siano z rzuconych wiązek, nie tracąc chwili, a niewiasta, dojąca u płotu krowę, wymyślała jej ludzkiemi wyzwiskami, za otrzymane od Łysochy policzki, wymierzone ogonem, ciężkim od gnoju. Pachniało wodą i mąką, wierzbami i nawozem, juchtem i machorką, a nad wszystkiem unosił się przenajsłodszy, drażniący

gardło, zapach przekwitającej lipy, która tkwiła za płotkiem ogródka, pełnego ciemno-fjoletowych malw. Błękitno było w powietrzu, ale odblask zorzy kładł na twarze, zwrócone ku zachodowi, purpurowe światła i barwił je krwawo.

Gdy dochodzili, doleciały ich uszu słowa nowe, nieużywane dotąd w potocznej mowie, a takie, że skoczyli oboje szybko ku ścianie młynu, koło której gadali chłopi półgłosem, jakby w zalęknieniu.

Na szarej od śniegów i deszczów, wypłukanej z jędrności desce, patrzyły się kolorowe kartki papieru. Jeden rzut oka i nieme pytanie w spojrzeniu. Mobilizacja!... a więc...

— „Wojna"—szepnęła Ania bez tchu, czując, że się na nią wali, jakby cały jej dotychczasowy świat: świat myśli, uczuć, ruchów i czynów, i w skłębionym chaosie porywa ją nieznaczącą drobinę, w wir potwornego Maelstromu. Chciała, kobieta!.. przygarnąć się do Niego! do tego, który był dotąd jej światem całym, który był miłością i ratunkiem, i... cofnęła się, odtrącona i przerażona jego widokiem, nie poznając twarzy kochanej.

Alo stał, przeistoczony zaiste. Jakaś skoncentrowana siła ukryta dotąd w nim głęboko, wydzierała się teraz na jaw, skupiając jego rysy w zaciętą i bezwzględną twardość. Jakaś potworna ulga, jakby rozjaśnienie błyszczało z oczu groźnych i szeroko rozwartych. W spojrzeniu jego był dziwny wyraz, taki, jakiby mógł mieć pocisk, gdyby ujrzał swój cel, do którego dąży, by go roztrzaskać, przenikając lub niszcząc wszelkie przeszkody po drodze. Ania zadrżała na myśl, że mogłaby być jedną z nich. Ujrzała oczami duszy, jak się między nimi kłębi chaos zdarzeń tak potwornych i wspaniałych, tak ohydnych i tak pięknych, tak drogich i nienawistnych, że nietylko oni są niczem wobec tego, co ma nastąpić, ale całe ich światy myśli będą nikłem, bladem wspomnieniem wobec rzeczywistości, biorącej brutalnie w ramiona wszystkie mdłe marzenia i rwącej je na strzępy.

— „Alo", szepnęła Ania trwożnie, „Alo...".

— „A no, teraz... teraz..." odrzekł jej głuchym głosem tryumfu i zapowiedzi.

Ania zapatrzyła się na niego. Był tak piękny, jakim go widywała tylko w chwilach najwyższych uniesień miłosnej rozkoszy, tylko stokroć bardziej uniesiony i szczęśliwy. Drogie, siwe oczy mieniły się, jak dziwne rozpłomienione metale, czy klejnoty. Był daleki spojrzeniem, myślą, całą postacią, porwaną w dal zdarzeń. Czy miał być teraz takim dla niej zawsze? Skłoniła w milczącej zgodzie głowę.

„A przecież—przecież“—myślała —„razem odbyliśmy tę drogę daleką i dziwną, jak życie... jak życie, mój Alu... i doszliśmy“...

. . . .

A teraz Aniu, Alu, kiedy was już niema, kiedy Wielka Wojna zniecestwiła was i wszystkie, złączone z wami wrażenia, gdy nigdy już kwiaty, ni drzewa, ni wód nurty przejasne mówić z wami, ni o was, nie będą... kiedy w pamięci szukam postrzępionych wspomnień o waszej miłości, całe światy bólu i rozkoszy, zawierającej w swych skrzydlatych ramionach, unoszących was poza dobro i zło, poza ludzi i ich sprawy przyziemne, gdy widzieć nie mogę, ani zgadnąć, co się w przestrzeni stworzyło z waszych przeżyć, z siły waszego uczucia... wtedy, myślę, że wszystko wkoło jest jeno fantasmagorją snu, z którego zbudzony dowie się człowiek... czegoś... kiedyś... może...

SPIS ROZDZIAŁÓW

BŁĘDY DRUKARSKIE.

18-ta	stronica	7-my	wiersz	od dołu	„Co chcesz".
34-ta	„	16-ty	„	od góry	„morze".
35-ta	„	9-ty	„	od góry	„zapomnienia".
37-ma	„	4-ty	„	od góry	„grubo".
„	„	9-ty	„	od góry	„rozwiązywaliście".
41-sza	„	13-ty	„	od dołu	„ująć i zamknąć".
„	„	18-ty	„	od dołu	„otulając".
43-cia	„	9-ty	„	od góry	„władnych".
45-ta	„	5-ty	„	od góry	„jej"
„	„	19-ty	„	od góry	„runy tajemnicze".
93-cia	„	10-ty	„	od góry	„pstrzyły się".